Nr. LXX Kwiecień 1939

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Nr. LXX Kwiecień 1939

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „Lech", Warszawa, Koszykowa 33. Tel. 8.90-66.

T R E Ś Ć :

4

Komunikat

Niniejszy zeszyt wydawnictwa rozsyłamy ze znacznem opóźnieniem, którego przyczyna leży — na tle bieżących wydarzeń historycznych — w samej istocie takiego pisma, jakiem jest „Nasza Przyszłość".

Celem naszym jest synteza wydarzeń oraz propagandy w różnych dziedzinach. Aby zaś podstawy i wytyczne tej propagandy w każdej danej sprawie skonkretyzować, trzeba z natury rzeczy odczekać, aż zebranie się odpowiedniego materjału faktów umożliwi dopiero, przynajmniej do pewnego stopnia, wyrobienie sobie nieco głębszego poglądu na każdą sprawę.

Otóż ewolucja niezmiernie ważnych przemian i wydarzeń potoczyła się na obu półkulach tak szybkim pędem w ostatnich czasach, że nieraz nawet prasa codzienna ledwo mogła im nadążyć. A dla wydawnictwa miesięcznego było to już zupełnie niemożliwem. Trudno podawać naszym czytelnikom wnioski niedojrzałe i artykuły, które byłyby straciły aktualność już w ciągu ich druku. Dlatego musieliśmy się wstrzymać aż do momentu, w którym nareszcie pewien trwalszy sens można było wychwycić z tego wszystkiego, co się w ostatnich miesiącach na świecie stało i wysnuć z tego choćby tymczasowe wnioski.

Redakcja.

P. S. Wyjaśnienie szczegółowe załączonego w formie dokładki do niniejszego zeszytu programu ogłoszone będzie w następnym numerze wydawnictwa jako osobny artykuł.

Tezy przybite młotem

W doniosłych momentach dziejowych, jakie przeżywamy, uważamy za wskazane przypomnieć czytelnikom „Naszej Przyszłości" pewne zasadnicze tezy programowe, które Zw. Polskiej Myśli Państwowej wspólnie z Redakcją wydawnictwa od szeregu lat głosi drukiem i słowem, w kraju i zagranicą, przy każdej okazji.

Tezy te — mające charakter także i postulatów — uważamy za program nadrzędny, ale nie nasz wyłącznie, lecz za ten wogóle, który istotnie konieczność dziejowa przed oczyma naszemi już od dawna realizuje. Nadrzędny zaś dlatego, że — zdaniem naszem — urzeczywistnia się on stopniowo, choć zapewne po linjach łamanych, ponad wszelkiemi szczegółowemi zjawiskami międzynarodowej gry dyplomatycznej i kalejdoskopu konjunktur.

Przypominamy więc, że:

1) utworzyć się musi blok państw środkowo-wschodniej Europy w trójkącie między Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnem, w którego skład wejdą trzy państwa bałtyckie, Polska, Węgry, Rumunja, Bułgarja i Jugosławja, a może i Czesi, przyparci do muru ciężkiem doświadczeniem,

2) między Polską a Litwą i Węgrami wytworzą się jeszcze bliższe węzły,

3) cała Wisła, od źródeł do ujścia, musi być w polskim władaniu,

4) Rosja w głębszej swej istocie nie jest trwałym czynnikiem siły, na którą mógłby liczyć jakikolwiek jej sojusznik, ale stosunki w niej ułożą się tak pod wpływem nacisku z zachodu i wschodu, że otworzy się Polsce okazja i konieczność interwencyjnego pochodu w kierunku Kijowa, Oddesy, a może i dalej,

5) narody ruski i białoruski w całkowitych granicach swego zasięgu muszą wejść w skład Polski mocarstwowej w jakiejkolwiek formie,

6) Polska, której w całej tej akcji przypada rola „narodu przewodniego", musi otrząsnąć się z resztek orjentacji przedwojennych i z różnych osłabiających ją urządzeń wewnętrznych, będących produktem obcych doktryn demagogicznych, aby podnieść się moralnie, gospodarczo i militarnie do wysokości tej roli.

Wszystkie te postulaty uzasadniliśmy wszechstronnie i wyczerpująco długiemi serjami szczegółowych artykułów na łamach „Naszej Przyszłości". Największy zaś nacisk kładliśmy zawsze i kładziemy niewzruszenie w dalszym ciągu na trzy walne kwestje:

1) konieczność przemiany ducha polskiego z defenzywy na ofenzywę, rozumianą nie w sensie brutalnej agresji, ale planowej ekspansji pod każdym względem, w czem siła atrakcyjna Polski i przygotowywanie się na okazje dziejowe główną mają grać rolę,

2) szkolenie się społeczeństwa polskiego w wielkiej umiejętności konsekwentnego rozwiązywania problemów historycznych na dalszą metę,

3) bardzo mocne ugruntowanie w ustawodawstwie i życiu społeczeństwa prawa własności prywatnej i prawa do uczciwego zarobku, przy ograniczeniu do minimum etatyzmu i fiskalizmu — aby przez to stworzyć Polsce niezbędną siłę atrakcyjną wobec państw i ludów, o których mowa powyżej.

Przypominamy również sformułowany i wielokrotnie obszernie motywowany nasz postulat w sprawie polsko-ruskiej: zlikwidować musi się zupełnie ideologja ukrainizmu, wyrosła na chorobliwym kulcie kozacko-hajdamackiego, na wskroś dla samych Rusinów negatywnego „incyndentu siczowego", a odrodzić się musi pozytywny typ historycznego Rusina, zdolny odegrać współtwórczą rolę w stopniowej odbudowie wspólnego imperjum, którego form zgóry nie chcemy przesądzać.

Wierząc mocno w realizację powyższych postulatów, ugruntowanych geopolitycznem położeniem i głębszą racją egzystencji Polski i wspomnianych narodów, świadomi jesteśmy oczywiście zasadniczego warunku tej realizacji: że Polska zerwie ostatecznie z ujemnvmi wpływami swej niedawnej przeszłości, z naśladownictwem obcych wzorów gangrenujących i wzniesie się

do lotu na nowych podstawach niezależnego objektywizmu, celowej planowości i zdrowego rozsądku w każdej dziedzinie.

Aby zaś czytelnikom naszym poddać pewną prawdę integralną, a następnie pewien szerszy problem do głębszej refleksji, ośmielamy się sformułować na tem miejscu dwie tezy, pozornie fantastyczne, ale w istocie daleko bardziej realne — przy pewnej dozie cierpliwości — od bardzo wielu doraźnych spraw aktualistycznych, jakie już może jutro mgłą się okażą. A te dwie tezy są następujące:

1) Oś Rzym—Berlin jest kolosalnym humbugiem, który wnet, jak domek z kart, się rozpadnie, choćby nawet wszyscy generałowie i dyplomaci włoscy i pruscy straszyli Europę najszumniejszymi traktatami sojuszów wojskowych.

2) W danych konkretnych warunkach nowoczesnej ewolucji dziejowej realna granica zasięgu polskich możliwości imperjalnych leży istotnie między rzekami Odrą a Uralem. Jest to z jednej strony właściwa, odpowiednio na zachód skorygowana granica polsko-niemiecka, z drugiej wspólna granica polsko-japońska, której hasło niniejszem po raz pierwszy zdecydowanie ogłaszamy.

A jeżeli Związek nasz taką rzecz oficjalnie drukiem ogłasza, to oczywiście nie bez głębszej przyczyny, wszechstronnej refleksji i ważnych, praktycznych powodów.

Niech mniej krytyczny, żyjący tylko chwilą bieżącą czytelnik Naszej Przyszłości — polityk z kawiarni lub z piwiarni, jak to dosadnie Minister Beck w swej pamiętnej mowie napiętnował — uśmiechnie się najpierw z ironją na obie powyższe tezy.

A potem niech prześpi jedną i drugą noc, która może — według znanego francuskiego przysłowia — przyniesie mu dobrą radę. I wówczas, biorąc bacznie i wszechstronnie pod uwagę wszystko, co się obecnie w Polsce i poza Polską organizuje i dzieje, niech przewidzi, czy mamy pewne podstawy lub nie mamy, aby przygwoździć już obecnie te dwie ostatnie tezy?

Prawda, że daleko sięgamy! Ale najpierw, bez śmiałego wytyczenia torów „myśli państwowej" — którą w herbie naszym nosimy — na dalszą metę, z szerokim horyzontem, nie uznajemy możliwości celowej realizacji szczegółowych problemów doraźnych; a powtóre, uważna, krytyczna obserwacja urządzeń, dążeń i kierunku wypadków w Polsce i poza Polską od szeregu lat wykazuje nam coraz wyraźniej, dokąd zmierza w ostatecz-

nym rezultacie sens dla Polski współczesnych dziejów. Zmierza niewątpliwie w kierunku powyższych postulatów.

Chcąc to właśnie stwierdzić raz jeszcze, wstrzymaliśmy się przez dwa miesiące z oddaniem do druku niniejszego zeszytu, wypatrując i podsłuchując bardzo pilnie, co się dokoła nas dzieje. I dlatego teraz dopiero oddajemy go czytelnikom z porządkową numeracją jako „kwietniowy", ale i tem większem uspokojeniem, że w programie naszym niczego zmieniać nie potrzebujemy, a nawet możemy odsłonić w nim już punkt nowy, pozornie dość oryginalny, wymieniony na końcu.

Do tej sprawy „rzeki Uralu" oczywiście powrócimy dokładniej w odpowiedniej chwili.

ZARZĄD ZWIĄZKU
POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ.

Osadzenie na miejscu

Pamiętamy dobrze w „Quo Vądis" tę kulminującą, dramatyczną scenę, gdy w rzymskim amfiteatrze, wobec dziesiątek tysięcy widzów ze wszystkich stron świata, Ursus osadził na miejscu „potwornego tura germańskiego", unoszącego na rogach Ligję (polską dziewicę).

Scena ta przyszła nam na myśl w czasie audycji wspaniałej pod każdym względem mowy sejmowej Ministra Becka. Tak— osadził na miejscu rozpędzonego germańskiego byka, szastającego się nieprzytomnie po arenie europejskiego amfiteatru, zbudowanego bądź co bądź jednak na podstawach łacińskiej kultury, uszlachetnionej etyką chrześcijańską. A jakkolwiek grzesznie i ułomnie wygląda nieraz realizacja tej etyki na arenie rzeczywistości politycznej, to jednak w połowie XX-go wieku niemasz już na tej arenie miejsca dla destruktywnego furoru teutońskiego tura.

Nie przytaczamy tu ani tekstu tej krótkiej, zdecydowanej, lapidarnej mowy, najwspanialszej — mówiąc bez przesady — jaką kiedykolwiek słyszały mury Parlamentu niepodległej Polski, a może nawet i mury wszystkich powojennych parlamentów na świecie. Powtórzenie bowiem raz jeszcze tekstu przez „Naszą Przyszłość" byłoby ujmą dla jej czytelników, którzy chyba bez wyjątku mają tę mowę dobrze w pamięci.

Pomijamy tu również — z tego samego powodu — uwypuklanie czytelnikom naszym wszystkich, szczególnie porywających polskiego ducha zwrotów i akcentów tej doniosłej enuncjacji, łączącej w sobie spokojny umiar i wielką dystynkcję dyplomatyczną z mocnym wyrazem zdecydowanej woli rządu i narodu polskiego.

Jak uderzenia młota, dzierżonego w ręku wytrawnego płatnerza, padały raz wraz ciosy w pruską metodę zakłamania

i dzikiej, odwiecznej zaborczości teutońskiej. Argumenty jasne, bijące prawdą, nieodparte. Fantom raubritterowskiej potęgi niemieckiej zmalał nagle w oczach Polski i świata.

Ale redakcja „Naszej Przyszłości", która lubi sięgać głębiej w istotę każdego zjawiska i sprawy, wyciąga z przemówienia Ministra Spraw Zagranicznych przedewszystkiem pewną, użytą w niem świetną a prostą metodę przyparcia przeciwnika do muru, którą notabene zastosowaćby należało odtąd logicznie a zdecydowanie w każdym naszym państwowym problemie wenętrznym i zewnętrznym, wobec wszelkich, z enfazą głoszonych a zakłamanych doktryn, prądów i społeczno-politycznych fetyszów. Proste pytanie: „O co właściwie chodzi?"

Tem jednem pytaniem, zastosowanem konsekwentnie w odpowiedzi na wszelkie niemieckie propozycje, żądania i perfidje, zostały one z miejsca zdemaskowane, przygwożdżone i ośmieszone. Nikt dotąd — o ile pamięć nasza sięga — lepiej i krócej nie rozprawił się z nowoczesnym machiawelizmem politycznym.

Bo np. gdy p. Hitler obiecuje Polsce swoją gwarancję dla zachodniej polskiej granicy w zamian za różne koncesje z polskiej strony, to Minister Beck stawia mu pytanie z lekką ironią: po co nam gwarancje hitlerowskie dla ziem, stanowiących prawnie i faktycznie własność Polski? Sejm polski przyjął to proste stwierdzenie całkiem słusznie aprobującym grzmotem oklasków, ale i salwą śmiechu pod adresem zarozumialczej naiwności Berlina. Bo istotnie, taka propozycja gwarancyjna niemiecka wychodzi na to samo, jakgdyby np. Polska ofiarowała się Niemcom z zagwarantowaniem przynależności do Niemiec Berlina lub Hannoweru!

Jak swego czasu Petronjusz twierdził, że Neron nie lubi pytań wprost i czuje się niemi — przy całym swym cezaryźmie — mocno zakłopotany, tak i zaborczość pruska stanęła bezradnie wobec jasnych pytań Ministra Becka: O co właściwie chodzi? Jednej bowiem, rzeczywiście szczerej odpowiedzi, jaką Niemcy mogą udzielić, mianowicie zamiaru swego rozbioru Polski — tej odpowiedzi oczywiście rząd niemiecki wyraźnie ogłosić nie może.

A przecież jasnem jest, że o to Niemcom chodzi i tych krzyżackich zamiarów — które dziś już jasno przed nami są zdemaskowane — żadne „austrjackie gadanie" p. Hitlera zawualować nie może.

Jasność postawienia sprawy spowodowała pierwszą, faktyczną ucieczkę Niemców z „pola bitwy". Uciekli w panice i z wielkim kłopotem dziennikarze niemieccy z galerji sejmowej w Warszawie, choć ich nikt nie ścigał i nikt im nic złego nie robił. Uciekli ze strachu wobec zdemaskowania ich własnej prawdy niemieckiej. Uciekli gdzieś, w jakieś zakamarki, naradzać się na gwałt, co wogóle wobec tej spokojnej a lapidarnej enucjacji polskiej pisać lub czynić?

My zaś — jak wspomnieliśmy powyżej — z całego tego, wielce doniosłego wydarzenia, wyciągamy skwapliwie naukę pewnej, niezmiernie pożytecznej metody. „Nasza Przyszłość" nie jest zarozumiałą, ale chętnie chwyta każdą okazję, w której czegoś mądrego może się nauczyć. Tembardziej w tym wypadku, gdzie zastosowana przez Ministra Becka metoda odpowiada — jak czytelnikom naszym oddawna dobrze wiadomo — stuprocentowo mentalności i taktyce naszej, którą określamy stale, od lat, na tych łamach wyrażeniem „wyrąbywania na wierzch prawdy toporem". Nic więc dziwnego, że na mentalność ludzi z pod specjalnego sztandaru „Naszej Przyszości" metoda p. Ministra przypierania do muru przeciwnika integralnie prostem pytaniem „o co właściwie chodzi?" musiała wywrzeć odrazu odpowiednio fascynujące wrażenie.

Często powtarzanymi grzmotami oklasków aprobował Sejm wygłaszane z oficjalnej trybuny oczywiste prawdy i objektywnie ujęte decyzje w sprawie polityki zagranicznej, bez żadnej obawy, że wypowiedzenie i realizacja tych prawd z polskiej strony może nas ewentualnie narazić nawet na wojnę. Zgodzono się odrazu, bez dyskusji na wspaniały, końcowy odzew do narodowego honoru, ale zarazem i na politykę prostej logiki, na której mowa Ministra była właśnie mocno ufundowana.

Otóż chodzi nam o to, aby podobne zrozumienie dla honoru i logiki zapanowało także w różnych, kapitalnych sprawach wewnętrzno-państwowych. Jasnem jest bowiem, że odważna, pewna siebie postawa narodu w sprawach zagranicznych ma wówczas tylko wartość integralną, jeżeli opiera się na mocnych, logicznie zbudowanych, a więc i trwałych podstawach wewnętrznych danego ustroju państwowego. I dlatego, wstrzymując się na razie od wyraźnych odpowiedzi, stawiamy walne pytanie „o co właściwie chodzi?" przed wszelkiemi w Polsce radykalnemi doktrynami, przed demagogją różnych partji politycznych, przed burzycielami własności prywatnej, przed rozpędzonymi bezmyślnie naśladowcami obcych pomysłów socjalno-gospodar-

czych, przed zacietrzewionymi propagatorami proletaryzacji powszechnej, przed nienasyconymi wciąż jeszcze ultra-demokratyzorami polskiego życia i kultury i przed upartymi zwolennikami postępowej etatyzacji i społecznego przymusu.

Dlaczego w sprawach zagranicznych panuje jasność i bezsporna prawda, wywołująca entuzjazm powszechny w kraju — a dlaczego w różnych urządzeniach, nastawieniach i dążeniach wewnętrznych utrzymują się wciąż jeszcze fałszywe fetysze, w które już nikt na serjo nie wierzy, których praktyczna szkodliwość i zakłamanie powszechnie są oddawna zdemaskowane, ale przy których trwają wciąż jeszcze w zaślepieniu różne warstwy i sfery?.

Niechże odpowiedzą z kolei jasno i wyraźnie, o co im przy tem właściwie chodzi? Do jakiego ustroju i stanu chcą w ostatecznym rezultacie kraj i społeczeństwo doprowadzić?

Tylko bez blagi, panowie!

Jan Bobrzyński.

Wskrzeszone upiory?

W poprzednim zeszycie Naszej Przyszłości — mianowicie w artykule p. t. „Wcielenie Gdańska i odpór upiora carskiej Rosji" — podnieśliśmy alarm wobec otrzymanej drogą przez Budapeszt wiadomości o koncepcji niemieckiej stworzenia „Wielkiego Księstwa Małorosyjskiego" ze stolicą w Kijowie, pod rządami w. ks. Borysa, obecnego kandydata na emigracji do carskiego tronu. Sygnalizowaliśmy z tego powodu — prewencyjnie! — ewentualne, najgorsze ze wszystkich niebezpieczeństwo dla Polski, gdyby w ten sposób miało odżyć dawne porozumienie prusko-rosyjskie, daleko gorsze dla nas od wszelkich nowoczesnych wybryków bolszewickich, hitlerowskich i bojowo-ukraińskich.

Ten alarm nasz poruszył wreszcie nieco prasę codzienną. Pięć dzienników przytoczyło najważniejszy ustęp z artykułu Naszej Przyszłości. Ale jeden z nich, Słowo Pomorskie, dało własny komentarz, że ogłoszona przez nas wersja i wyrażona obawa są przesadne.

Leży to niestety w mentalności współczesnego ogółu, że uznaje tylko myślenie i życie doraźną chwilą, odrzuca wszelką myśl o najbliższej choćby przyszłości w imię całkiem błędnie rozumianego „realizmu" i raz po raz daje się zaskakiwać przykremi niespodziankami politycznemi lub gospodarczemi. A przecież praktyczne doświadczenie ubiegłych dwudziestu lat niepodległości winno wreszcie nauczyć naszych polityków, publicystów i ludzi gospodarczych, że najczęściej „realnem i konkretnem" wcale nie jest to, co chwilowo przed nimi gotowe na talerzu leży, ale właśnie to, czego na razie jeszcze nie widzą, lecz co się na przyszłość gotuje.

Tak i w danym wypadku. Naszym politykom i publicystom potrzeba widocznie aż dziesięciu oficjalnych mów Hitlera, Mus-

soliniego, Chamberlaina i Roosevelta i „niespodziewanej“ anek=sji tego lub owego słabszego państwa przez silniejsze, aby rea=lizm danej sprawy dotarł nareszcie do ich ośrodków mózgowych. A wówczas twierdzą nawet, że dany fakt „dawno już przewi=dzieli“. Natomiast wszelkie myślenie prewencyjne, wszelkie wy=ciągnięcie zawczasu logicznych, syntetycznych wniosków na przyszłość z pewnych, gotujących się zjawisk obce jest niestety olbrzymiej większości umysłów naszych współczesnych roda=ków, a nawet traktowane przez nich z lekceważeniem jako nie=realna „muzyka przyszłości“ lub „przesada“.

A tymczasem wśród wszystkich modnych wrzasków, krzy=ków, zakłamań i rozgrywek o Morze Śródziemne, czem aferuje się w pocie czoła cała zachodnia i nasza prasa — zarysowują się coraz wyraźniej kontury całkiem innego niebezpieczeństwa, daleko groźniejszego dla Polski od sztucznych i nietrwałych osi Rzym—Berlin, na której Niemcy z Włochami prędzej czy póź=niej serdecznie się pokłócą. Oto sygnalizujemy dalsze wieści o próbach kontaktu niemiecko=rosyjskiego.

Jako specjaliści — choćby w skromnym stopniu — w dzie=dzienie walki z obcemi agenturami, t. j. z podminowującemi świat współczesny doktrynami wywrotu, głosimy już od daw=na, że antagonizm między narodowym socjalizmem w Niem=czech a integralnym niby socjalizmem w Rosji sowieckiej jest tylko pozorny i chwilowy. Każdy baczniejszy obserwator musi to bezwzględnie potwierdzić, o ile nie należy do gatunku ludzi o wąskim horyzoncie, którzy dają sobie zawracać głowę za=kłamanemi mamidłami chwili bieżącej. Wszak bolszewizm i hi=tleryzm czerpią swe źródło z jednej i tej samej doktryny soc=jalistycznej: zakucia człowieka w wieczną niewolę społeczną i usunięcia Boga, jako pojęcia niewygodnego dla osiągnięcia tego celu.

Stąd też nie jest i nie będzie żadną dla nas niespodzianką, że neopogański hitleryzm zacznie rozszerzać swój kontakt z bez=bożniczym bolszewizmem. Leży to w naturalnym porządku rze=czy. Przepowiadamy, że modna obecnie oś Rzym—Berlin, prze=dłużana fikcyjnie do Tokjo, jest sztuczną farsą, zwykłym stra=szakiem na wróble, gdzie jeden partner stara się drugiego wy=korzystać i oszukać. Prawdziwą natomiast osią, chwilowo przed oczyma aktualistów jeszcze zakrytą, a rzeczywiście niebezpiecz=ną dla Europy i cywilizacji, jest starodawna linja Berlin — Moskwa.

Na obu krańcach tej osi siedzi dwóch socjalistycznych konkurentów, których nazwiska składają się — rzecz dziwna — z sześciu liter każde. Te literki kłócą się chwilowo wzajemnie między sobą, ale w rzeczywistości świetnie do siebie pasują. Bo czyż jest naprawdę jakaś zasadnicza różnica między obu tymi uczniami marksowskiej doktryny, a już zgoła między zaborczością pruską a moskiewską? Niech wierzy w istnienie tej różnicy kto naiwny — my nie!

A uprzytomnić sobie też trzeba, że upadek Polski nastąpił z chwilą odpowiedniego wzmocnienia się obu tych naszych walnych wrogów, a wskrzeszenie Polski stało się możliwem dopiero w momencie ich odpowiedniego osłabienia. A więc.....

Obecnie wbrew powierzchownym zjawiskom, które absorbują uwagę aktualistów — więzy prusko-rosyjskie zostały wzmocnione w porównaniu do przedwojennych. Upiór „świętego przymierza", skierowanego przedewszystkiem przeciw Polsce, nie zginął, lecz tylko schował się chwilowo pod ziemię. Potencjalnie zaś nabrał jeszcze siły przez analogję systemów socjalno-totalnych, które opanowały oba państwa. Bismarck i Murawiew żyją w dalszym ciągu, przebrali się tylko w nowe płaszcze, o innych odznakach i kolorach, aby światu tem lepiej zamydlić oczy. Spór obecny, to tylko kłótnia domowa w dobrze dobranem małżeństwie, które pod wpływem jakiegoś rozdrażnienia rozbija sobie garnki na głowach, aby się za chwilę tem serdeczniej pogodzić.

Oba te państwa mają tę wspólną cechę, że nawet w epokach największego terytorjalnego rozwoju nie odczuwają nigdy stanu nasycenia, ale dążą ustawicznie do coraz dalszych podbojów. Drapieżność zdobywcza leży w psychice i „racji stanu" pruskiej i rosyjskiej. Bez zdobywania nie wie Prusak i Moskal, co ze sobą począć, nie widzi żadnych innych misji ani zadań.

A wielka różnica kulturalna nietylko tej wspólnocie zaborczej nie przeszkadza, ale wprost przeciwnie: jeszcze ją uzupełnia. Tu żywiołowa dzikość półazjatycka, tam pychą cywilizacyjną natchniona zaborczość zorganizowana — to w danym razie znakomicie się uzupełnia i to obu łupieżców mimowoli do siebie zbliża.

Praktycznie więc rzecz biorąc, zastanowić się musi dobrze naród polski, jaką obrać zawczasu drogę i jakich prewencyjnych użyć sposobów, aby nie dopuścić do regeneracji prusko-rosyjskiego przymierza, wzmocnionego jeszcze źródłową wspólnotą tej samej doktryny ustrojowej?

Rzecz oczywista, że nie wolno i nie powinno się tych środków i sposobów w szczegółach publicznie omawiać. Dlatego z rozmysłem powstrzymujemy się tu od sugerowania jakichkolwiek szczegółowych recept „anty-upiorowych“. Zresztą to już rzecz nie nasza, są na to w państwie inne, daleko potężniejsze i kompetentniejsze czynniki.

Nasze zadanie ograniczamy tylko do jak najbardziej zdecydowanego uderzenia na alarm, — i to wcale nie dla wywoływania jakiejś małodusznej paniki, lecz aby rzeczowo i spokojnie zwrócić uwagę polskiego ogółu na ewentualność największego i najistotniejszego niebezpieczeństwa. Im ono dalsze, im na razie mniej wydaje się prawdopodobnem i „realnem“, tem lepiej, ale tem właśnie gruntowniej trzeba się na tę ewentualność przygotować i zawczasu ją sparaliżować.

Bagnet „wiecznie na Polskę idącego sołdata“ oraz polakożercza pruska pikelhauba — to dla nas bez porównania ważniejsze symbole, niż wszelkie inne zagraniczne sytuacje chwilowe i problemy. Nie boimy się nowoniemieckich maszyn wojennych, ani doktryn i watach bolszewickich, ani hajdamackich nożów, ani krzyżackich głodomorów zglajchszaltowanych na tankach bez benzyny, ani nawet dziś już wpływu doktryn rozkładowych ze wschodu i zachodu na polską psychikę.

Natomiast jasno i wyraźnie twierdzimy, że najbaczniejszą uwagę zwrócić należy na bezwzględnie realną możliwość zmartwychwstania prusko-białorosyjskiego upiora i tej groźnej możliwości z całą mocą prewencyjnie się przeciwstawić.

Powiedzieliśmy swoje!

SEKCJA DLA SPRAW ZAGRANICZNYCH
ZW. POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ.

Termopile czy Grunwald?

W chwilach ciężkiej próby dusza narodu ujawnia swą tężyznę i hart. Dziś właśnie przeżywamy takie chwile i reakcja szerokich kół społeczeństwa stanowi niewątpliwie wyraz mocy duszy narodu.

Faktem jest niewątpliwym, że dalecy jesteśmy już nietylko od paniki, lęku czy defetyzmu, ale nawet od tak charakterystycznego w nowoczesnych warunkach wogóle kupieckiego oportunizmu.

Wobec gromadzącej się na horyzoncie burzy — całe społeczeństwo zrywa się, jak jeden mąż, z bojowem hasłem na ustach.

Jednak na tym wspaniałym słońcu polskiego żołnierskiego zapału wprawne oko dostrzeże pewne skazy i plamy. Gdy się głębiej wczuć w tę poczynającą się dziś tak mocną wrzawę wojenną — dosłuchać się można w niej także i niepokojących, minorowych tonów, które krótko dają się ująć w pojęciu „defenzywy". Typowym tego przejawem jest rzucone przez kogoś na tle świeżych sukcesów niemieckich powiedzenie:

„Szukam miejsca, gdziebym mógł z honorem polec za Ojczyznę."

W tych paru słowach, nacechowanych szlachetną i godną niewątpliwie uznania ofiarnością własnej krwi, pobrzmiewa jednak nuta desperacji.

I zgoła niepotrzebnie!

Czemuż ten człowiek gotów jest walczyć i to walczyć bohatersko, ale stawiając siebie na straceńczym posterunku? Czemu to decyduje się na Termopile, a nie pragnie Grunwaldu? To jest stanowczo nie w porządku!

Po co myśleć o klęsce, skoro jest koniecznością oczekiwać, gotować się i przygotowywać zwycięstwo? Koniecznością dla

narodu, prawdziwie męskiego. To dziwaczne i niepokojące splątanie się bojowego nastroju z desperackim fatalizmem jest wynikiem rozszczepienia się w psychice polskiej tego, co nazwać należy odwagą żołnierską i tego, co określa pojęcie odwagi cywilnej.

Między tymi czynnikami nastąpił groźny rozbrat. W Polsce odwaga cywilna przestała dorastać do poziomu naszej znakomitej i przysłowiowej odwagi żołnierskiej. Odważny cywil jest wciąż jeszcze artykułem niecodziennym, niedostatecznie rozpowszechnionym.*)

I to właśnie sprawia, że często nawet akcenty odwagi żołnierskiej padają w niewłaściwej chwili i w niewłaściwem miejscu.

Aby odwaga żołnierska nie marnowała się bezowocnie pomimo najefektowniejszych, największą brawurą okupionych czynów, potrzebna jest odwaga cywilna, zdolna podnieść już nie hasło krótkiej wyprawy defenzywnej, ale decyzję wytrwałej, długodystansowej wojny ze wszystkiemi jej przygotowaniami mobilizacyjnemi, następnie zdecydować się w odpowiedniej chwili i miejscu na uderzenie, wytrzymać czas wojenny, doprowadzić do zwycięstwa i — co najważniejsze — donieść do końca konsekwencje bitewnych sukcesów. Po wygranej bitwie łatwo przegrać wojnę, jeśli się zaraz rozejdą do domu najwaleczniejsi choćby rycerze. Nie jest sztuką bić się byle gdzie z byle kim, ale jest sztuką bić się dla dalszego celu!

Cóż znaczył Grunwald i długoletnia po nim wojna, jeśli w pewnej chwili zrezygnowano z ostatecznego rozgromu krzyżackiego gada — ba, przyjęto odeń „hołd pruski", wywołujący melancholję Stańczyka? Po cóż było Beresteczko i szereg wielkich zwycięstw nad Moskalami, jeśli wnet potem pokojem andruszowskim oddano Moskwie prawie 200.000 km.? Jaki sens miał Wiedeń, kiedy po nim przyszły Parkany, a w rezultacie nawet Kamieńca nie odzyskano? Na co było obsadzać trony nad Dunajem, by potem układem sukcesyjnym wiedeńskim z r. 1515 oddać ich dyspozycję do rąk płożnych, zależnie

*) Późniejsze od niniejszego artykułu, powszechne przejawy dzielnej postawy ogółu społeczeństwa polskiego wykazały, że nawet duch odwagi cywilnej wyższy jest jednak ponad surowy sąd autora. Ponieważ jednak w pewnych sferach partyjno-politycznych ujawnił się niemniej jaskrawo duch „wyłącznej tylko defensywy", cofając się bojaźliwie aż do absurdalnej koncepcji szukania oparcia w Rosji sowieckiej, przeto wcale nie od rzeczy będzie dokładne rozważenie myśli niniejszego artykułu. (Uw. Redakcji).

od tego, czy syna, czy córkę odbiorą przy królewskich lub cesarskich porodach? Po cóż szlachta uchwaliła Władysławowi IV wojnę turecką, skoro nie zdecydowała się potem na „pospolite ruszenie".

A czyż owoców wspaniałego zwycięstwa „dwudziestej decydującej bitwy świata", dzieła genjusza wielkiego wodza — jak powiada lord d'Abernon — nie uszczupliła w Rydze chwiejna ręka dyplomatów?

Śladem graficznym ich braku odwagi cywilnej jest niepewnie, drżąco i falisto kreślona linja granicy wschodniej, nie na wyrost, ale przeciwnie — kuso przyciętej!

Rozumiemy dreszcz lęku, podyktowany poczuciem odpowiedzialności dziejowej. Źle jest jednak, jeśli dreszcz ten przechodzi w permanencję, w stałą febrę niechęci do mocnego, agresywnego — jeśli potrzeba — czynu.

Agresaja, ofenzywa, śmiałe wyciąganie rąk po to, co się należy, co stanowi niezbędną przestrzeń naszego dziejowego bytu — oto czego brak cywilowi polskiemu. Jest on przekonany, że jeśli sam poprzestanie na swojem, jeśli nie da sobie urwać guzika od kontusza, to już wystarczy. Tymczasem często tak bywa, że aby obronić własny guzik, trzeba sięgnąć po cudzy.

To ten właśnie umiarkowany, pozbawiony wszelkich zdrowych apetytów cywil kazał sobie płacić 3 grosze od tarczy — paktem w Koszycach — za pójście na wojnę po za granice kraju. To on zawracał niemal z pół pola bitwy, gdy go zaniepokoiło, że pod lipcowem słońcem pszeniczka w polu się sypie. To ów nieszczęsny cywil wydał na świat „wojnę kokoszą", stanąwszy po to obozem zbrojnym, by kurom i gęsiom łby ukręcać i faszerować nimi głodne, na wzór Zagłoby, brzuchy szlacheckie!

Między Zagłobą a Wołodyjowskim chwiała się dusza szlachecka i gdy ten pierwszy szedł do karczmy opowiadać o przewagach, których tak dobrze, jak nie było, to ten drugi — rycerz nieustraszony — musiał z Kamieńcem w powietrze się wysadzić wobec braku cywilnej odwagi u miarodajnych władz tej twierdzy.

Tak kapiała Polska w uściskach cywila-minimalisty, wielbiciela status quo, amatora prowadzenia polityki zagranicznej w ramach własnego podwórka, w zamkniętych, nieprzekraczalnych w żadną stronę granicach — tak więdła w nich nasza znakomita, podziw świata wyzywająca — odwaga żołnierska.

Że Polak, jako szlachcic, nosić miał szablę, to rzecz oczywista, że zaś, jako chrześcijanin „krwie przelewu" nie winien pragnąć, więc arjańscy odszczepieńcy poradzili Polakom, by do pasa drewniane przypinali szabelki. Oręż z drewna — rzecz jasna — nie mógł być pokusą do wojaczki, ale stwarzał zato pozór „narodu pod bronią"...

Taka to rozkwitała „wolność złota" — jak to świetnie kreśli K. Szczucka — gdy cywil począł na dobre tropić i prześladować, a wreszcie rugować polskiego rycerza, co „ani z soli, ani z roli, ale z tego, co boli" krwią serdeczną indygenat sobie pisał. I takeśmy poczęli schodzić z pustemi rękami nietylko z najsławniejszych pól bitew, ale i z kart historji.

„Bij, kto w Boga wierzy" pod wpływem i tchnieniem cywila zamieniło się w sielankowe „laissez passer". Bo przecież my, słowianie, lubim sielanki — jak to określił Mickiewicz.

A rezultaty? Gdy w r. 1654 Gustaw Adolf „osiągnął" Warszawę, to w odrestaurowanym obecnie arsenale „ze łzami rozczulenia" znalazł więcej armat, niż miał ich wogóle przy swojej armji, idącej na podbój świata!

Sytuacja prawie taka, jak dziś w Czechach, gdzie najwspanialszy oręż nie został dobyty, bo go dobyć i użyć zabrakło woli. Tak się sprawił cywil kunktator, pacyfista i „realista".

Ale przecież ten cywil lubiał być przy pasie i szabli. Tylko taka była różnica, że — jak powiada Kochanowski — człowiek był przytroczony do szabli i szwędał się bezdusznie, ale pysznie za nią, a nie szabla przywiązana do człowieka. Rdzewiał oręż w pochwach, wilgł proch na panewkach. Trzeba było dopiero grozy ostatecznej, gdy już nieprzyjaciel wdzierał się w granice, a ojczyzna znalazła się „w potrzebie", aby szlachta pospolitem ruszeniem dorwawszy się koni w cwał poszła najeźdźcę siekać.

Wszystko było dobrze póki siedziała w siodłach, póki ponosił ją galop i impet, który natchnął Chłapowskiego do rzucenia Napoleonowi dumnego „Le Polonais passe partout".

Aż wreszcie zsadzono nas z koni, cywil zatryumfował w pełni. I stało się, w okresie sejmu czteroletniego, że my — najlepsi jeźdźcy świata — mieliśmy pułki kawaleryjskie, w których stan koni wynosił sztuk trzy... Zsadzeni z wielkiego konia fantazji narodowej, rezygnujący z niewygód siodła, nasi cywile na piechotę nawet żółwiom dali się prześcigać. To właśnie cywil podsunął rzekomo myśl, że Polska nierządem stoi, a asekuruje ją „najjaśniejsza gwarantka caryca Katarzyna".

Cywilowi to dogadzało, jak dogadza dziś Czechom, że nie potrzebują pod Hitlerem w wojsku służyć — Szwejk wojska nie znosi. Cywil już nie potrzebował przedzierzgać się w żołnierza, warować u bram Rzplitej, ba — pędzić na dalekie szlaki, by uderzeniem zapobiegawczem wyprzedzać cios wroga. Dlatego to cywil dotąd nie może pojąć manewrowej wartości wyprawy kijowskiej, nie dostrzega w niej jednego z fundamentów zwycięstwa nad Wisłą, jak to podkreślił gen. Kutrzeba w swem dziele, świeżo wydanem.

Zapatrzony bałwochwalczo w jakąś cudowną interwencję potęg sprzymierzonych nieba czy ziemi, nie dostrzega decydującej mocy uderzeniowej własnej polskiej armji, której wódz dał odskok do zwycięstwa aż od bram Kijowa.

I tak oto cywil — w toku całych naszych dziejów — pomniejszał Polskę, aż z miljona klm. kw. spadła do trzech bezimiennych skrawków prowincjonalnych.

Dziś od lat dwudziestu, po półtora wieku zmagań powstańczych, odrodziła się i zreorganizowała. Ale cywil znów zachowuje pozycję minimalisty i granicę swych aspiracji zamyka w łaskawie traktatem wersalskim okrajanych 384.000 klm. kw. To właśnie ten „moralny cywil" uważa każdy przyrost obszaru za „awanturę", to tylko jego na myśl o tem lęk ogarnia. I dopiero szlachetny atawizm naszej bujnej, rycerskiej krwi — dyktuje mu deklarację rozpaczy, że pragnie polec na straconym posterunku obrony status quo!

Nie rozumie ten cywil, że najlepsza obrona, to atak. I dlatego wybiera zgóry Termopile.

Nie rozumie dlatego, że wogóle nie rozumuje na dłuższą metę — nie pyta, co będzie z Polską za sto lat — czy także ma liczyć 384.000 klm. kw.? Nie pyta, bo dla takiego pytania trzeba sięgnąć w dalszą przeszłość, znacznie dalej, niż data traktatu wersalskiego.

Bywa, że cywil próbuje sięgać do przeszłości, ale wtedy każą mu omijać — wystarczy tu wspomnieć o naszych podręcznikach szkolnych — te nazwiska i imiona, które grają pobudką bojową, ekspanzywną, zdobywczą, ofenzywną!...

To właśnie cywil-pacyfista sprawił, że zanika u nas kult wodzów: Łokietków, Jagiełłów, Batorych, Żółkiewskich, Sobieski, że nagradzane są książki, zwycięzcę z pod Wiednia wyobrażające jako kabotyna i pantoflarza. W miejsce zaś tak pomniejszonych wielkości wstępuje minimalistyczny, pseudo-demokratyczny kult „nieznanego" żołnierza.

Nikt nie kwestjonuje zasług nieznanego żołnierza. Ale należy zdać sobie sprawę z tego, że kult nieznanego żołnierza, to ledwie proseminarium uznania dla wojskowego czynu i postawy, to pierwszy krok wychowawczy szkoły honoru i poświęcenia żołnierskiego. Od bezimiennego bohatera jeśli nie prowadzi droga do sławy, znanej z imienia i nazwiska, to w takim razie twórczy mit napoleoński o buławie marszałkowskiej w tornistrze piechura staje się fikcją, a nie dźwiga w zwyż, nie podnieca ambicji.

Zapewne i ten szczęśliwy, jak powiada Mickiewicz, kto padł wśród zawodu bezimiennie, jeśli poległem ciałem dał innym szczebel do sławy grodu. Ale sama anonimowość nie wystarcza. Od anonimowych szermierzy tylko krok dzieli od argumentu, że może ludziom wystarczyć anonimowa ojczyzna — t. zw. ludzkość, którą szermują różni internacjonaliści.

Na zwrotnym punkcie dziejów musimy policzyć się z tą psychologją cywila, zwolennika defenzywy, obrońcy status quo, a w rezultacie pomniejszyciela ojczyzny:

Przeciw jego minimalistycznemu programowi musimy wysunąć program o zarysie imperjalnym, podyktowany nie jakimś duchem zwierzęcej zaborczości, ale obowiązkiem spełnienia naszej misji historycznej, która wyraża się w prymacie Polski wśród narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Program ten winien lokować nasze ambicje na szerokiej przestrzeni między Bałtykiem a morzem Czarnem. W imię takiego programu musimy relegować z naszej psychiki, z naszej szkoły obywatelskiej, z naszego życia wszystko, co pomniejsza, osłabia, sprowadza postawę człowieka do defenzywy Termopil.

Na wzorach Grunwaldów i tych, którzy do nich prowadzili, należy kształtować nowy typ Polaka, mocny życiowo, zdecydowany nietylko bronić, ale i walczyć, by zdobywać tę niezbędną przestrzeń historyczną, która potrzebna nam jest, aby pojęcie mocarstwowości stało się rzeczywistością.

Do Grunwaldu droga wiedzie jedynie przez szeroki program ekspansji, który dał nam ongiś oparcie i sojuszników przez unję z Litwą i Rusią. I tak samo dziś. Musimy przejść do akcji, która zapewni nam moralny prymat w Europie środkowo-wschodniej, a wówczas — gdy zajdzie konieczność nie chybimy drugiego Grunwaldu.

Oto, na zakończenie krótki katechizm polityczny Polaka:

Sprawy wewnętrzne.

Morale narodu.

1. Polak musi być politycznie maksymalistą, porzucić bierność i defenzywne wyczekiwanie, przejść do ofenzywy, atak uważać za najlepszą obronę.
2. Polska odwaga żołnierska, gotowość do walki i ofiary krwi musi harmonizować z odwagą cywilną myślenia i inicjatywy w ramach szerokiego horyzontu politycznego oraz obliczania konsekwencji na daleką przyszłość.
3. Religja katolicka, prawo własności, rodzina, muszą być poszanowane, honorowane i należycie gwarantowane przez ustawodawstwo oraz praktykę polityczną, społeczną, gospodarczą i sądową.
4. Obywatel musi mieć możność uczciwego zarobku i dorobku.

Ustrój.

5. Polska musi mieć ustrój, odpowiadający potrzebom „narodu pod bronią", na dorobku mocarstwowym, zatem zapewniający:
   a) władzę zwierzchnią trwałą i pełną,
   b) rząd zwarty i uproszczony w układzie funkcji,
   c) parlamentaryzm wyrażający autonomję społeczną w hierarchicznym układzie od gminy, przez wojewódzkie sejmiki, do centralnego sejmu i senatu.
6. Administracja musi odpowiadać interesom samorządu społecznego, historycznym i geograficznym właściwościom poszczególnych ziem, potrzebom obrony państwa.
7. Narody litewski, białoruski i ruski są — jako autochtoniczne — współgospodarzami ziem historycznych mocarstwa polskiego.
8. Niemcy i Żydzi, jako mniejszości, będą traktowani, jak tego wymaga interes narodu i państwa, z zachowaniem oczywiście zasad sprawiedliwości.

Sprawy zagraniczne.

Zasady ekspansji.

10. Mocarstwowy byt i rozwój Polski wspierać się musi na:
    a) poczuciu i podjęciu misji narodu przewodniego Europy Środkowo-Wschodniej, nadaniu jej charakteru ofenzywnego,

b) dynamicznem — a nie statycznem — równoważeniu rywalizacji Zachodu ze Wschodem i nadaniu tej rywalizacji pożądanego dla ogólnej cywilizacji i naszych interesów kierunku,

c) realizacji dla Polski pozytywnego prawa bytowego do dziejowej przestrzeni, niezbędnej dla wykonania dwu wyżej zakreślonych zadań,

d) wchodzeniu w układy z ościennemi państwami w imię osiągnięcia zasadniczych celów polskiej ekspansji, a więc oderwaniu się od t. zw. układów ustabilizowanych.

Mocarstwo polskie.

11. Zasięg mocarstwowy Polski winien doprowadzić do stworzenia:

a) zespołu mocarstwowego o Troistym Herbie Polski, Litwy, Rusi i Białorusi w ich etno-historycznych granicach według wzoru, odpowiednio zmodernizowanego, dawnej unji jagiellońskiej,

b) bloku państw i narodów, położonych w trójkącie dynamiki i konfliktów politycznych między morzami: Bałtykiem, Adrjatykiem i Czarnem (Czesi, Słowacja, Węgry, Jugosławja, Bułgarja, Rumunja, Litwa, Estonja, Łotwa),

c) patronowaniu akcji prometejskiej narodów uciśnionych w Rosji, a dążących, przez jej rozbicie, do wyzwolenia.

Zagadnienia graniczne.

12. W duchu wskazań przeszłości i postulatów przyszłości na tle warunków geopolityczych, trwale określających nasz byt państwowy i wiążących go z losem narodów i państw sąsiednich, Polska widzi swoje zadanie w tej części kontynentu:

a) w umiejętnem rozładowaniu i rozegraniu konfliktu Zachód — Wschód (Niemcy — Rosja), tak, by teatr zdarzeń przenieść możliwie najdalej ku wschodowi,

b) w zatamowaniu naporu barbarzyńskiej Moskwy, zarówno białej, jak czerwonej, zagrażającej całej Europie,

c) w stosownem unormowaniu dróg niemieckiej ekspansji na Wschód przez

— oparcie się na dwu osiach: Warszawa-Budapeszt i Warszawa - Kijów, jako barjerach, przeciwstawiających się południowemu parciu Niemiec na obszary b. Austro-Węgier, Bałkanu i brzegów morza Czarnego.

— danie Niemcom niezbędnego ujścia dla „Drangu nach Osten“ via Kłajpeda ku Petersburgowi, Nowogrodowi, Moskwie, górnej Wołdze, przyczem Gdańsk, Prusy Wschodnie, Litwa, Białoruś mińska przypaść muszą Polsce (założeniem jest tu, że Wielkorosja jest istotnie terenem odwiecznym kolonizacji i ekspansji niemieckiej),

— w miarę postępu ekspansji niemieckiej stopniowe realizowanie założeń dwu bloków i tworzenie sobie na tych terenach „polskiej dziejowej przestrzeni“ bazy mobilizacyjnej bytu mocarstwowego i czynu militarnego, by w razie potrzeby można było rozegrać nowy Grunwald, czy Beresteczko, Chocim, czy Wiedeń.

Warszawa, 10 kwietnia 1939

Józef Czarnecki.

Odwieczna przeszkoda w zjednoczeniu polskiego narodu

W groźnym, ale i wspaniałym z polskiego punktu widzenia okresie, jaki od kilku miesięcy przeżywamy, wśród prawdziwie historycznych, doniosłych momentów i wobec imponującej światu postawy polskiego społeczeństwa chciałoby się zapomnieć o wszelkich poziomych, podwórkowych, zaprawdę drobnostkowych sporach partyjno-politycznych. Mamy zaiste o czemś daleko większem do myślenia!

Duchowem ukoronowaniem tego podniosłego, prawdziwie „przedgrunwaldzkiego" nastroju był ostatni List pasterski Episkopatu polskiego, natchniony zarówno niewzruszonym autorytetem Kościoła, jak i doniosłym wykładem głęboko rozumianego patrjotyzmu. List ten — to prawdziwe orędzie polsko-katolickiej racji stanu jako Przedmurza Chrześcijaństwa.

Wielka szkoda, że, zamieszczając to doniosłe Orędzie w całości lub wyjątkach, prasa nasza poświęciła mu tak nieliczne tylko i powierzchowne komentarze, gdy tymczasem o każdem mrugnięciu powiek, czy grymasie twarzy Hitlera, Mussoliniego lub innego modnego polityka pisze się codzień grubemi trzcionkami niezliczone, a wprost już nużące swą drobiazgowością sprawozdania.

Nie powtarzając czytelnikom naszym tekstu tego doniosłego Listu — gdyż przyjmujemy, że musi im być znany z prasy codziennej — podnosimy tu tylko z jego bogatej a promieniejącej nieodpartymi argumentami treści jedno, niezmiernie cenne i charakterystyczne zdanie:

„Bronimy się skutecznie przed sąsiedzkim neopogaństwem, mimo, że się do nas zakradło „w owczej skórze słowiańskich podań i obrzędów".

Po raz pierwszy to Episkopat polski, wydając swe Orędzie nadrzędne, wznoszące się wysoko ponad drobnostkowe różni-

ce wszelakich orjentacji politycznych i mające ogólne i wieczne znaczenie dla Polski katolickiej, w zasadzie pokojowej, ale zbrojnej dla zdecydowanej obrony wiary i patrjotycznych ideałów, wydając je z okazji szalejącego rozmachu agresywności niemiecko-pogańskiej, zwraca uwagę narodu polskiego także i na niebezpieczeństwo narkozy nowoczesnych koncepcji słowianizmu, jako istotnego wilka „w owczej skórze".

Wobec tego, głęboko przemyślanego rewelacyjnego oświadczenia ze strony takiego autorytetu, jaki reprezentuje oficjalna enuncjacja, podpisana przez dwudziestu sześciu Arcybiskupów i Biskupów Polski, ośmielamy się przypomnieć czytelnikom naszym zamieszczony przez nas na tych łamach przed paru laty gorący apel do Najdostojniejszego Episkopatu, aby raczył wypowiedzieć się na temat niebezpieczeństwa współczesnej psychozy wszechsłowiańskiej — a więc w gruncie rzeczy promoskiewskiej — która ogarnia wciąż jeszcze liczne a naiwne umysły wielu naszych rodaków, grożąc ostatecznie wcale nie mniejszem niebezpieczeństwem, niż brutalne przejawy pruskiego Drangu nach Osten i hitlerowskiego neopoganizmu.

Z żywem więc zadowoleniem stwierdzamy, że Orędzie Episkopatu akcentuje tę istotną równowagę obu niebezpieczeństw, moralnych i fizycznych: germańskiego neopoganizmu i niemniej pogańskiego (w istocie bowiem bolszewickiego) słowianizmu. Bardzo też wnikliwie ujawnia List pasterski, że ten współczesny słowianizm jest perfidnie popierany przez pozornie mu przeciwnego pruskiego wilka w słowiańsko-owczej skórze. Widzimy w tem ujęciu ze strony polskiego Episkopatu bardzo głębokie i słuszne uchwycenie skomplikowanych nici, jakie łączą od dawna politykę niemiecką z kierowaną — bezpośrednio lub pośrednio — przez Berlin polityką rosyjską.

Żadnej więc nie ulega wątpliwości — i przejdzie to chlubnie na karty naszych dziejów — że w bardzo krytycznym momencie wszechświatowego naprężenia, perfidnych intryg i agresywnego chaosu, Episkopat Polski nietylko ogłosił w sposób zdecydowany odpowiednie moralne dyrektywy dla narodu, ale stanął również na wysokiej platformie doniosłej roli politycznej, ogólno-państwowej, wskazując wyraźnie na rzeczywistą wspólnotę niebezpieczeństwa zarówno germańskiego, jak i „słowiańskiego". Pod obu bowiem temi wyrażeniami kryją się groźne dla współczesnej Polski fale trujące.

Ale w tym doniosłym okresie konsolidacji polskiego narodu w obliczu niebezpieczeństwa, a przedewszystkiem w mo-

mencie zrozumienia przez Polaków ich misji i mocarstwowej roli — uznanej teraz dopiero przez świat cały — odezwał się nagle złowrogi zgrzyt, który przypomniał nam to, o czem chcielibyśmy raz nareszcie zapomnieć: że istnieje wciąż jeszcze w społeczeństwie naszym pewien odłam nieprzejednanie upartych defetystów, nie wierzących w moc Polski samodzielnej, ale dążących w skrajnej płochliwości do faktycznego poddania jej pod „protektorat" rzekomo potężnej i rzekomo słowiańskiej moskiewskiej „siostrzycy", mającej być dla mizernej Polski niby tarczą opieki przed krzyżacką nawałą.

Oto czytamy w sprawozdaniach prasowych następujący, odrębny ustęp uchwał Komitetu Głównego Stronnictwa Narodowego z dnia 23-go kwietnia b.r.:

„Z całością położenia politycznego ściśle wiąże się sprawa stosunków polsko-rosyjskich. Oparte na pakcie o nieagresji i umowach gospodarczych, winny one obecnie ulec dalszemu pogłębieniu".

Czytelnik, rdzenny Polak-katolik, przeciera oczy ze zdumieniem. A więc w mózgach i w przedwojennych pojęciach patrjotyczno-rezygnacyjnych Narodowej Demokracji nic się nie zmieniło od r. 1905, gdy Roman Dmowski, wraz z orszakiem swych adherentów, którym straszliwie zaimponował gliniany kolos rosyjskiej potęgi, runął w Petersburgu do stóp carskich, aby od czarno-secinnych, na pruskiej psychice wychodowanych czynowników rosyjskich wymodlić, wybłagać dla „etnograficznej kongresówki" jakiś małoduszny i w danych warunkach oczywiście beznadziejny modus vivendi z Moskalami! Wciąż ta sama linja Targowicy, oddającej Ojczyznę naszą w wygodnym defetyźmie pod protektorat Katarzyny, w karygodnie naiwnem zapoznaniu, że przecież Katarzyna ta i wielu z jej rządzących faworytów i zauszników byli — niemieckiego pochodzenia!

I dzisiaj, gdy hitleryzm upodabnia się coraz wyraźniej do rosyjskiego bolszewizmu, gdy pogański, na talmudycznych podstawach zrodzony, polakożerczy komunizm zieje na świat przez terytorjum Polski, zaciekłość defetyzmu i szaleńcza narkoza fikcji wszechsłowiańskiej w łonie Narodowej Demokracji korzystają z gestów Hitlera, aby rozpocząć znowu swe orgje prorosyjskie. Narodowa Demokracja chce w niepoprawnej swej zaciekłości cofnąć nas do dawno przebrzmiałych, najciemniejszych momentów rozbiorowego upadku i rezygnacji!

I tu właśnie chwytamy za kark na gorącym uczynku najgorszego, wewnętrznego wroga Polski suwerennej i mocarstwowej.

Nie partyjna walka z reżimem pomajowym, nie takie czy owakie hasła wyborcze, nie papierowe różnice partyjno-programowe, czy ambicje personalne czynią z Narodowej Demokracji — wraz ze słuchającemi jej rozkazów pewnemi innemi grupami — największego szkodnika w Polsce wskrzeszonej, ale właśnie ten niby „filosłowiański", a właściwie prorosyjski defetyzm. Tu tkwi sedno sprawy. Walka z reżimem, zapoczątkowanym przez ś. p. Marszałka Piłsudskiego, to ze strony endecji tylko pospolite zmagania o osiągnięcie mandatów sejmowych i tek ministerjalnych, o tyle tylko niemoralne, że w walce tej nadużywa endecja cynicznie hasła „Bóg i Ojczyzna", które my inni, także i nawet daleko szczerzej wyznajemy. Jak to piętnowaliśmy zawsze ze słusznem oburzeniem, usiłuje Endecja opanować katolicki kler polski i „wziąć zakrystję w arendę". Ale ostatecznie wiemy z doświadczenia, że metody polityki partyjnej są zwykle niemoralne i dlatego nie dziwi nas ponad przeciętną miarę wyborcze łapiduszostwo.

Prawdziwie natomiast, wprost historycznie szkodliwe i paraliżujące narodową tężyznę oddziaływanie endecji ujawnia się w kontynuowaniu przez nią ideologji targowickiej i to — otwarcie mówiąc — w pełnym tego pojęcia znaczeniu. Endecy bowiem nie wyobrażają sobie w głębi ich skarłowaciałych dusz, żeby Polska była w stanie bez opieki rosyjskiej się utrzymać.*) I w tem tkwi prawdziwa klątwa, obarczająca każdego endeka, który zaiste sprawia we współczesnej Polsce wrażenie jakgdyby zgoła obcego, przedpotopowego elementu.

Stąd z tą samą beznadziejną tępotą programową, z jaką łudziła się endecja przed wojną, iż skrajną ugodowością zdoła wyżebrać łaski dla Prywiślańskiego kraju od cara i jego prusko-mongolskich czynowników, chce teraz — według słów wyżej wspomnianej uchwały — „pogłębiać" swe stosunki z bolszewikami, którzy niby mają obronić Polskę przed inwazją germanizmu! Nawiasem mówiąc, wyłazi tu na światło dzienne rzekomy tylko katolicyzm tego osobliwego stronnictwa. Bo prawdziwy katolik nie wpadłby z pewnością na koncept otwierania na oścież wrót do Polski bolszewizmowi, aby z jego rzekomą pomocą odpędzać pruskie neopogaństwo.

I dlatego zalecając wobec wszelkich pretensji agresywnych, czy naprzemian umizgów niemieckich jak najbardziej zdecydo-

---

*) Jeżeli prasa narodowej demokracji rzuci się na nas za to z oburzeniem, to tem lepiej, bo przez to odetnie się wyraźnie od moskalofilskiego programu. A o to właśnie nam chodzi!

waną postawę i pięść opancerzoną i poważne gotowanie się pod każdym względem na druzgocące odparcie ewentualnego teutońskiego najazdu, odpierając również stanowczo szowinistyczny, antychrześcijański nacjonalizm, który na ziemie polskie przeszczepiła z Niemiec właśnie endecja — protestujemy równocześnie jak najbezwzględniej przeciw wszelkim bolszewizującym zakusom endeckim „pogłębiania" stosunków z czerwoną Moskwą w imię jakichś fikcji słowiańskich, wychodzących w danem położeniu wprost już na zdradę suwerenności Polski.

Nie bierzemy udziału w żadnych perypetjach partyjnych i obce nam są wszelkie utarte sztuki, szlaki i łamańce partyjnego dążenia do władzy. Nie podlegamy na szczęście żadnym politycznym wpływom, czy nakazom. Ale cała kameleonowa historja Narodowej demokracji, kłaniającej się naprzemian Bogu i „słowiańskiemu" bolszewizmowi według chwilowych interesów partyjnych, a zwłaszcza ten, tak niezmiernie znamienny ustęp z ostatnich uchwał najwyższych władz endeckich i to wszystko na tle powojennej działalności i penetracji wszelakich obcych agentur, wykazuje dowodnie, że najszkodliwszą jest przybrana w biało-amarantowe barwy i kręcąca się koło drzwi kościelnych endecka, wewnętrzna agentura. Inne bowiem, obce agentury, występujące jawnie, pod własnym szyldem, przeciw Polsce, czy religji, czy cywilizowanemu ustrojowi, wywołują zdrowy odpór ze strony społeczeństwa, pobudzając je do walki, w której ono się hartuje. Natomiast endecka domowa agentura wyzyskuje najperfidniej wszelakie nasze pojęcia i uczucia patrjotyczne i katolickie, jak ten prawdziwy wilk „w skórze baranka", aby raz zatruć nas naśladownictwem pruskiej, antykatolickiej nienawiści bliźniego pod hasłem nacjonalizmu, to znowu poddać nas pod władzę jeszcze bardziej trujących miazmatów rosyjskich i uzależnić politycznie od półmongolskiej Eurazji.

Niechże nad tym faktycznym stanem rzeczy zastanowią się dobrze, głęboko, objektywnie ci wszyscy, którzy kołyszą się nadzieją — a nieraz nawet dumnie głoszą pewność, że naród polski mimo wszystko da się skonsolidować. Niech wezmą bardzo poważnie pod rozwagę tę nieprzebytą przeszkodę, jaką stanowić musi zawsze — dopóki istnieje — infekcja polskiego organizmu przez narodową demokrację. To nie zwykła partja, z którą można zawierać kompromisy w imię wyższych celów, ale targowicki szał zasadniczego defetyzmu, promieniującego z pewnych zaciętych klik na narkotyzowane i ogłupiane przez

nie systematycznie sfery mężczyzn, kobiet i nawet najmłodszej młodzieży. Zaraza ta czyni także ciężkie szkody katolicyzmowi, gdyż ogarniając umysły pewnej części kleru i tworząc w stowarzyszeniach religijnych istotne jaczejki, ziejące fanatyzmem Torquemady przeciw wszystkim katolikom, nie podległym ślepo dyktaturze endeckiej, zraża kolosalnie masy najlepszych katolików do kleru i do organizacji religijnych, ułatwiając prawem naturalnej reakcji szerzenie się indyferentyzmu i ateizmu w kraju wśród Polaków z innych odłamów politycznych.

Dowód leży przed nami jasny i bezsporny, którego żadne pokątnie - adwokackie argumenty przeciwne nie są wstanie wykręcić i zatuszować. W momencie najwspanialszego wzlotu patrjotycznego, religijnego i mocarstwowego, jaki naród polski w tej chwili przeżywa, w momencie istotnej konsolidacji wszystkich sfer, wobec mocarnych dążeń wykazania przed światem polskiej zgodności i siły, głosi endecja oficjalnie powrót na łono Moskwy, choćby nawet na czerwono pomalowanej! Krok dalej w tem „pogłębianiu" serdecznych, istynno-słowiańskich stosunków, a powtórzy się upadlająca hańba z r. 1914, kiedy to jeden z dziś jeszcze „wybitnych i cenionych" przywódców narodowej demokracji ofiarował w imieniu swego stronnictwa złotą szablę rosyjskiemu generałowi za „wcielenie do moskiewskiej macierzy odwiecznie rosyjskiego Lwowa".

Dopóki istnieć będzie w Polsce paraliżujący duch Targowicy w postaci endecji z jej przybudówkami, to nikomu nie powiedzie się zbudowanie jakiejkolwiek szczerej i trwałej zgody narodowej. Endecji zjednać niepodobna, ją można i trzeba tylko zlikwidować, wyzwalając przez to naród i religję z pod jarzma paraliżującej narkozy.

Ale, pomijając już wszystko powyższe, jakichże to braci, sojuszników i protektorów słowiańskich szukają czołowi endecy w państwie rosyjskiem, aby z ich protekcją i pomocą odeprzeć krzyżacką zawieruchę?

Nie zaprzeczą chyba — o czem wspomnieliśmy już powyżej — że różni władcy z dynastji Romanowów i różne, bardzo liczne, miarodajne sfery rosyjskie były albo wprost niemieckiego pochodzenia, albo pozostawały z dawnych czasów pod wpływem niemieckiego przekupstwa i komendy. Nie przeszkadzał temu głębszemu, faktycznemu stanowi rzeczy powierzchowny, oficjalny antagonizm prusko - rosyjski, wyładowujący się nie-

kiedy nawet w krwawych wojnach — zwłaszcza w ostatniej. światowej — które jednak były w najgłębszej swej istocie tylko podrywaniem się resztek antyniemieckiego, mongolsko-słowiańskiego instynktu (reprezentowanego ostatnio n. p. przez w. ks. Mikołaja Mikołajewicza) przeciw faktycznemu opanowaniu rosyjskiej Eurazji przez kolosalny pruski Drang nach Osten. Niezliczona ilość przekupionych zdrajców proniemieckich w sferach wyższego czynownictwa rosyjskiego z ostatnich czasów przedwojennych i z okresu wojny światowej świadczy o tem wymownie i wyklucza wszelkie wątpliwości.

A bolszewizm? Winien dziś wiedzieć już chyba każdy Polak, że niszcząca ta i germanizująca Rosję doktryna została w niej zaszczepiona celowo, z premedytacją przez Berlin zapomocą kilkunastu przekupionych przez sztab niemiecki germanofilskich pseudo - komunistów oraz oddanej im do dyspozycji kwoty pięćdziesięciu milionów marek niemieckich w złocie. Perfidja krzyżacka nakazała przytem zamordować umyślnie przez bolszewików ambasadora niemieckiego Mirbacha,... aby było trudniej zgadnąć!

A każdy inteligentny Polak współczesny, nawet endek, o ile wogóle jest jeszcze w stanie myśleć nieco samodzielnie, musi nareszcie zrozumieć, że ani w Czechach, ani w rosyjskiej Eurazji niema nawet śladu jakiejkolwiek idei słowiańskiej, ale wszędzie panuje suwerennie idea i komenda pruska. I dlatego wyzywamy w szranki całą prasę endekoidalną — wraz z jej przybudówkami — aby, ku szczerej naszej radości udowodniła nam i społeczeństwu polskiemu, że w Petersburgu i Moskwie istnieje na serjo jakikolwiek ślad ideologji słowiańskiej, chętnej i naprawdę zdolnej przyjść Polsce w pomoc przeciw „krzyżackiej zawierusze"!

Oczywiście prasa endecko - słowianofilska przybierze się wobec nas i wobec tego jasnego zapytania w teatralną togę wyższości, która jest świetnym, a chytrym sposobem wykręcania się z pytań, zbyt ambarasujących.

My zaś przytoczymy jeszcze następujące fakta realne, których żadna partyjne, ani dziennikarskie wykręcanie się sianem z ideologji targowickiej nie jest wstanie zatuszować:

1) Jeszcze przed wojną światową byli duchowni prawosławni wysyłani celowo do protestanckich seminarjów duchownych w Niemczech, aby zaczerpnąć tam wykształcenia i metod zaszczepienia odpowiednio spreparowanego racjonalizmu w bizantyjską doktrynę prawosławną.

2) Na uniwersytecie berlińskim założono specjalne seminarjum, prowadzone przez profesorów niemieckich, dla kandydatów na katedry uniwersyteckie w Rosji, zwłaszcza prawnicze.

3) Na szereg lat przed wybuchem wojny światowej mnóstwo ważnych posad na wyższych uczelniach w Rosji, a nawet w petersburskiej Akademji Umiejętności, zostało obsadzone przez rdzennych Niemców i to nawet sprowadzonych specjalnie z Niemiec. Szereg działów nauki rosyjskiej i tamtejszych wyników badań i odkryć we wszelkich dziedzinach opanowany został przez rdzennych Niemców i rezultaty tych prac ogłoszone zostały po świecie w języku niemieckim. Wszak nawet tak osobliwa wyprawa naukowa, która wydobyła w r. 1901 prawie nienaruszonego mamuta z lodów nad północno-wschodnią rzeką syberyjską Berezowką, przeprowadzona została z polecenia Akademji petersburskiej przez niemieckich uczonych Herza i Pfizenmayera — z których ostatni był rdzennym obywatelem Wirttembergji i ogłosił ciekawe wyniki tej ekspedycji w obszernej książce niemieckiej, wydanej nakładem Brockhausa w Lipsku 1926, z uroczystą dedykacją Geheimratowi Dr. Aleksandrowi Königowi, profesorowi niemieckiego uniwersytetu.

I takich przykładów na wszelkich polach możnaby wyliczyć tysiące. Wszystkie zaś one razem składają się na całokształt faktu, że Rosja jest oddawna kulturalną i w znacznej części nawet i polityczną kolonją niemiecką — i trzeba zaiste tylko karygodnie niepoprawnych mózgów „bógojczyźnianych", aby łudzić się wciąż jeszcze śmieszną nadzieją, że „słowiańska" Moskwa może nam przeciw Niemcom dopomóc.

Zaiste — świat jest wprawdzie skończony, jak dowodzą tego choćby nowoczesne zdobycze nauki, ale upór i ślepota narodowej demokracji nie mają granic!!!

I jeszcze jedna wewnętrzna, domowa, czysto polska sprawa, w której pragnęlibyśmy otrzymać raz nareszcie z jakiejś endeckiej organizacji lub prasy logiczne, uczciwe, realne wyjaśnienie: dlaczego najmniejsza sugestja choćby tylko zimno-poprawnej normalizacji stosunków z Niemcami piętnowana była zawsze z hałasem przez endekoidalną prasę polską, jako germanofilska zdrada ojczyzny, a natomiast wszelkie, nawet najbardziej defetystyczne, niewolnicze, upadlające pomysły oddania się czerwonej czy białej Moskwie z duszą i ciałem nie są nigdy — podkreślamy: nigdy — w równej mierze piętnowane jako zdradzieckie dla Polski moskalofilstwo?

Niechże wielce poważni i szanowni pp. przywódcy narodowej demokracji, zasłużeni politycy i uczeni profesorowie, raczą raz nareszcie zniżyć się do naszych bardzo skromnych wymagań i pouczyć nas — ale realnie i bez partyjnych wykrętów — dlaczego to najsłabszy, nawet mocno antyniemieckimi argumentami obwarowany projekt normalizacji stosunków polsko-niemieckich jest z ich strony hałaśliwie piętnowany jako zbrodnia germanofilizmu, a natomiast zalecane jest przez nich „pogłębianie" jak najserdeczniejszych stosunków z Rosją i dlaczego żaden Polak — nawet komunizujący sowietofil — nie został przez nich nigdy napiętnowany zbrodnią „moskalofilizmu"? A więc germanofilizm — o ile wogóle w Polsce istnieje — jest zdradą, a moskalofilizm — który jawnie i czelnie przez całą endecję, wspólnie z fołksfrontem jest uprawiany, ma być patriotyczną cnotą?

Niechże nam to wytłomaczą dokładnie i rzetelnie czołowi endecy, w przeciwnym bowiem razie będziemy mieli chyba wszelkie prawo traktować ich za stuprocentowych Targowiczan i promoskiewskich defetystów. Nadszedł moment dziejowy, w którym nareszcie skończyć się musi endecka zawierucha pojęć i prawdziwy program tego osobliwego obozu winien być jasno wyłożony przed całym narodem.

* * *

UWAGA REDAKCJI. Zamieszczamy nadesłany nam niedawno powyższy artykuł nie dlatego, aby przy tej okazji rozprawiać się z jakąś partją polityczną — gdyż drobnostkowe kłótnie prasowe i wiecowe w obecnym okresie uważamy stanowczo za leżące poniżej naszego poziomu — ale dlatego, że w poruszonej przez autora sprawie konstatujemy rzeczywiście kardynalny hamulec dla naturalnego rozwoju Polski mocarstwowej. A przeżywamy moment, w którym rzeczą najważniejszą jest obalenie zakostniałych przeszkód, utrudniających Ojczyźnie naszej ostateczne wyzwolenie się z resztek rozwichrzonej demagogji i psychicznych więzów okresu niewoli.

Czy takim uderzeniem w podstawy pewnej ideologji defetyzmu politycznego utrudniamy może dążenia do konsolidacji narodu w obliczu niemieckiej nawały? Stanowczo nie. Jako wyznawcy szkoły „prawdy dziejowej" mamy niewzruszone

przekonanie, że zgłębienie i powiedzenie społeczeństwu prawdy tylko dobre musi mieć skutki w ostatecznym rezultacie. Wszelkie natomiast oportunistyczne tuszowanie prawdy, pokrywanie prześcieradłem istotnego stanu rzeczy dla osiągnięcia jakichś chwilowych efektów uważmy za tak szkodliwe, jak pokrywanie rakowego nowotworu jakąś niewinną maścią.

Jeżeli naród polski ma naprawdę sprostać swej wielkiej roli i trudnym zadaniom, jakie narzuca mu jego misja i umiejscowienie geograficzne w tej połaci kontyngentu Europy, to musi wypalić w sobie chorobliwe narośla z okresu niewoli i stanąć oczyszczony i wyzwolony wobec nowej epoki dziejów.

Prawda i kłamstwo wspólnot szczepowych*)

(Na marginesie »idei słowiańskiej«)

W szeregu odczytów, wygłoszonych w różnych ośrodkach Towarzystwa Wiedzy Wojskowej przez delegatów naszego Związku Polskiej Myśli Państwowej, chodzi o poddanie pod rozwagę sfer wojskowych i opinji publicznej wogóle pewnego całokształtu państwowego i narodowego programu, ustroju i nastroju, tak, aby na skonkretyzowanych i z decyzją wytyczonych w ten sposób podstawach mógł Związek nasz dać odpowiedni impuls do energiczniejszego i bardziej skonkretyzowanego, niż dotąd, startu w celowej pracy państwowej tym wszystkim rodakom, którzy start taki uważają słusznie za konieczny.

Wobec ogromu tego całego zadania podzieliliśmy je z konieczności na szereg niby odrębnych tematów — razem piętnaście — wysuwając w każdym z nich odpowiednio ujęte, na znajomości dziejów oraz praktyce życiowej oparte, lapidarne tezy polskiej racji stanu. A takich właśnie tez brak młodemu naszemu państwu, jak dobrze wiadomo, jeszcze w wielu kierunkach. Chodzi więc o to, aby różne, zmienne ustawicznie eksperymenty polityki „tymczasowej" oraz panujące wciąż jeszcze w społeczeństwie polskiem uczuciowe rozbieżności na różnych polach — pochodzące nieraz z nieaktualnych już orjentacji przedwojennych lub z bezkrytycznego naśladownictwa doktryn i pojęć, narzuconych nam z zagranicy — usunąć, a na ich miejscu wykuć i skonsolidować pewne zdrowsze i realniejsze, na trzeźwym objektywiźmie oparte, rdzennie polskie kierunki myślenia i działania.

A pierwszym warunkiem do osiągnięcia tego celu, mającego nietylko ogólne, ale i bardzo praktyczne znaczenie, jest usunięcie pewnych walnych przeszkód i narkotyzujących fetyszów,

*) Odczyt wygłoszony w Kole Tow. Wiedzy Wojskowej w Chorzowie.

które stoją dotąd na drodze swobodnemu, naturalnemu kształ- ceniu się zarówno polskiej myśli obywatelskiej, jak w konse- kwencji i polskiej racji stanu. Wśród tych różnych, wielce dot- kliwych przeszkód i śmiesznych a szkodliwych fetyszów, któ- rych tyle spotykamy w zakresie ustrojowym, społeczno-politycz- nym i innym, poważne niestety miejsce zajmuje od kilku dzie- siątków lat — bo jeszcze od czasów przedwojennych — archeo- logiczne pojęcie wspólnot szczepowych, wbite nam w mózgi przez naszych wrogów, a przeniesione z dziedziny teoretycznej nauki prehistorji na arenę polityki realnej.

Dość wskazać krótko: polityka carska, wspomagana przez różne rosyjskie sfery rządowe, polityczne i intelektualne, narzu- ciła od drugiej połowy ubiegłego stulecia narodom słowiańskim, zwłaszcza poza granicami imperjum rosyjskiego zamieszkałym, ideę wspólnoty wszechsłowiańskiej, jako niby mającej stanowić dla wszystkich Słowian, pod przywództwem oczywiście Rosji, niezbędny puklerz przeciw naporowi świata germańskiego.

I perfidnie, a bardzo zręcznie zaszczepiona ta idea polityczna slawizmu, mającego niby wydać jakieś praktyczne skutki, przy- jęła się niestety bardzo głęboko zwłaszcza w bezpośrednio z Mo- skalami sąsiadujących narodach, mianowicie u Polaków i Cze- chów. Stosunkowo mniej u Serbów i Bułgarów, którzy trzymali wprawdzie raz po raz z Rosją, ale raczej tylko jako z państwem, na którego moc dyplomatyczną czy zbrojną w pewnych okresach rachowali, mniej za to przejmując się sztucznymi względami ideologicznymi. Natomiast Praga stała się na długie lata gorą- cym ogniskiem panslawizmu — i to z wyraźnie promoskiew- skim nastawieniem — promieniując tą ideą na Słowację, a prze- dewszystkiem na Polskę. Nastał wreszcie okres, kiedy idea wszechsłowiańska zaczęła silniej promieniować z Pragi, niż z sa- mej Moskwy.

Jaką okazała wartość praktyczną, a zwłaszcza w jakim stop- niu mogła oprzeć się naporowi germanizmu, o tem świadczą aż nadto chyba jaskrawo dzisiejsza Rosja bolszewicka i wraca- jące bez oporu w skład Rzeszy niemieckiej Czechy. Ale w każ- dym razie wyrządziła Polsce niezmierną szkodę. Ona to bo- wiem — fikcja słowiańskiej wspólnoty — rozbiła naród nasz na dwie, wielkie, zwalczające się dotąd beznadziejnie a bezpro- duktywnie obozy.

Najgłębszym bowiem powodem bezprzykładnego dawniej w dziejach Polski — i w podobnie wielkim stopniu także we

współczesnych dziejach innych narodów — rozbicia naszego społeczeństwa na dwa wrogie obozy, rozdzielone przepaścią nawet w najżywotniejszych interesach narodowej i państwowej racji stanu, jest nietyle doraźna walka o władzę, nietyle jakiekolwiek różnice programowe czy względy personalne, ile leżąca na dnie obopólnej zawiści zasadnicza różnica nastawienia wobec tak zwanej sprawy słowiańskiej, a w konsekwencji oczywiście nastawienia psychicznego względem Rosji.

A nieprzebyta ta dotąd przepaść, której właśnie wskutek tej najgłębszej przyczyny żadne powierzchowne układy polityczne nie są w stanie wyrównać, otwarła się w polskim narodzie dokładnie w roku 1905, gdy narodowa demokracja, pociągając za sobą opinję bardzo znacznej części narodu, zweksłowała ostatecznie z polityki antyrosyjskiej na oportunistyczne tory porozumienia z Rosją, jako rzekomo największą potęgą o charakterze słowiańskim. Zaraziło się tą koncepcją słowiańskiego braterstwa niemal całe społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, a także znaczne jego odłamy w zaborze austrjackim i pruskim, szukając w tej idei jakiejś pomocy przed brutalnie prowadzoną germanizacją. Pewne zaś idee, gdy się raz głęboko zakorzenią, mają taką moc trwałości i bezwładności, że z uporem utrzymują się w mentalności ogółu nawet wówczas, gdy realne, nawet groźne fakta wykazują już z roku na rok coraz wyraźniej ich bezpodstawność, szkodliwość i niebezpieczeństwo. Otóż narzucona nam przez Moskwę i Pragę fikcja słowiańskiej wspólnoty okazała się tak silną, że przetrwała dotąd w umysłach znacznej części polskiego społeczeństwa, mimo przeszło dwudziestu lat rosyjskiego bolszewizmu i również przeszło dwudziestu lat najbardziej i stale dla nas wrogiej polityki czeskiej, protegującej jawnie i cynicznie wszystkich możliwych naszych nieprzyjaciół i wszelkie przeciw Polsce konspirujące mafje.

Sprawa ta, która przybrała u nas charakter groźnej psychozy, a w niektórych przejawach partyjnych i dziennikarskich wprost charakter zdrady stanu, stanowi dla nieco trzeźwiej myślącego umysłu absurdalną zagadkę, której rozwiązania domyślać się można chyba tylko w jakimś podświadomym kompleksie strachu i rozpaczy, rozkrzewionym u nas na tle półtorawiekowej niewoli. Ale niewola ta dawno już minęła, idea słowiańska — jak zresztą wszystkie idee prastarych wspólnot szczepowych na całym świecie — okazała się czczą fikcją i bardzo niebezpiecznym dla Polaków absurdem. Nigdy nam najmniejszej pomocy

w walce ze światem germańskim nie dała. Czas więc chyba już ostatni, aby znią zerwać i raz na zawsze tego fetysza z granic Polski wypędzić.

Zastrzegamy się przytem kategorycznie, że zdemaskowanie i zniszczenie idei wszechsłowiańskiej w Polsce nie uważamy wcale za równoznaczne z przychyleniem się na stronę jakiegobądź germanofilizmu. Nic podobnego! To właśnie jest zasadniczą, a wielce perfidną cechą wszechsłowiańskiej psychozy, że każdy rzeczowy opór przeciw niej piętnuje jako rzucanie się w objęcia Niemiec. Tę niby jedyną alternatywę wbili nam przez kilkadziesiąt lat w mózgi Moskale i Czesi: Polak może być tylko słowianofilem, albo germanofilem!?

Otóż przeciw tej, niesłychanie sprytnej alternatywie, która straszeniem niemiecką nawałą ma Polaków utrzymać w duchowym posłuszeństwie dla polityki moskiewskiej i czeskiej, zakładamy zdecydowany protest. Wszak doprowadzono nas zastrzykiem słowiańskiej idei do takiego psychicznego impasu i do takiej wzajemnej nieufności, iż żaden Polak nie mógł nigdy występować objektywnie przeciw Czechom lub Moskalom (a nawet przeciw czeskim lub rosyjskim bolszewikom), żeby nie naraził się z miejsca na bezmyślny zarzut „sprzedawania Ojczyzny Niemcom". Spotykało to każdego Polaka zawsze i wszędzie ze strony olbrzymiej większości społeczeństwa, ze strony wszystkich partji politycznych, ze strony całej prasy.

Czas zerwać pęta tej narkozy i skończyć z tą niesłychanie pod każdym względem szkodliwą bajką o politycznej wspólnocie słowiańskiej w czasach nowożytnych, jeżeli nie mamy zaplątać się w najfałszywszą mentalność polityczną i stać się wprost pośmiewiskiem daleko trzeźwiej i realniej myślących sąsiadów.

Bo jasnem jest, że co innego archeologja czy prehistorja, a całkiem co innego polityka i współczesna rzeczywistość. Że wszyscy pochodzimy od Adama i Ewy, że biała rasa, rządząca dziś jeszcze światem, pochodzi z jakiegoś wspólnego pnia aryjskiego, że różne narody, używające słowiańskich języków, miały gdzieś w zamierzchłych czasach wspólnych praojców — są to wszystko sprawy bardzo wzruszające i dla prehistoryka zapewne ciekawe, ale nie mające dziś najmniejszej praktycznej wartości. W nowoczesnych warunkach istnieją realnie tylko narody, państwa i rządy, armaty, karabiny, bombowce i tym podobne, widzialne i namacalne realja, a nikomu na świecie —

oprócz zbyt jeszcze naiwnie a górnolotnie traktujących różne abstrakcje Polaków — nie śni się o jakichś przedpotopowych pokrewieństwach szczepowych, a już zgoła nie o przenoszeniu takich prehistorycznych reminiscencji na platformę rzeczywistości politycznej.

Wręcz przeciwnie — praktyczne doświadczenie szeregu ostatnich wieków wykazuje niezbicie aż po dzień dzisiejszy, że najczęstsze i najbardziej zażarte wojny prowadzą między sobą pobratymcy szczepowi, zwłaszcza, jeżeli graniczą ze sobą. Wszak i Polska w historji nowożytnej bez porównania najbardziej krwawiła się w bojach ze Słowianami i bez porównania największych rozmiarem i najdzikszych okrucieństwem krzywd od nich doznała.

A to są fakta, którym żadna partyjna argumentacja nie jest w stanie zaprzeczyć, ani ich złagodzić. Zresztą dzieje się to i gdzieindziej. Wszak wojna światowa miała, jak dobrze wiadomo, dwa główne źródła wybuchu: zdobywczą żądzę Rosji opanowania i późniejszej rusyfikacji wszystkich narodów słowiańskich oraz antagonizm dwóch narodów germańskich — Anglji i Niemiec. Bez tych dwóch najgłówniejszych motywów nie byłoby wcale przyszło do kataklizmu. A obecnie znów widzimy: pokrewne szczepy, chiński i japoński, walczą na śmierć i życie, a inne dwa blisko pokrewne szczepy łacińskie wchodzą w coraz większy konflikt na tle zaborczem.

Fikcja i kłamstwo wspólnot szczepowych, przenoszonych z dziedziny teoretycznej nauki na platformę wierzeń politycznych, występuje jaskrawo nawet w światowej skali.

Tembardziej odnosi się to do realnej sytuacji polskiego narodu i państwa. Zdajmyż sobie — jako obywatele niezależnej i eksponowanej na wszystkie strony ojczyzny — dokładnie i trzeźwo sprawę, że jakiekolwiek naukowe, archeologiczne konsyderacje pokrewieństwa szczepowego z kimkolwiekbądź nie mają dla nas najmniejszego pozytywnego znaczenia, a tylko niebezpieczną zasłonę rzucają nam na oczy. Zdajmy sobie nareszcie sprawę z tego, że idea wspólnoty słowiańskiej z jakimkolwiek obcym narodem i państwem jest obrzydliwem oszustwem czeskiem i rosyjskiem, którem obaj ci najwięksi nasi wrogowie — bez względu na panujący u nich naprzemian system biały lub czerwony, demokratyczny czy totalistyczny — chcą nas wziąć na kawał i osłabić. Zdajmy sobie sprawę, że oszustwo

to fikcji słowiańskiej nietylko nie dostarczy nam ani jednego żołnierza lub samolotu w przepowiadanej walce z germanizmem, ale wręcz przeciwnie: wrazie naszego konfliktu z Niemcami ruszą z absolutną pewnością przeciw nam wszyscy słowianie, licząc na naszą klęskę i pragnąc perfidnie wykorzystać tę okazję, aby wspólnie z Niemcami kraj nasz ponownie rozedrzeć na strzępy.

I żadnych specjalnych nie trzeba na to argumentów. Wszak pamiętamy doskonale, że dwadzieścia lat temu, w czasie walk naszych ze słowiańsko-mongolskim bolszewizmem rosyjskim, największymi naszymi wrogami były resztki białej Rosji, dalej wszyscy Ukraińcy, nie wyłączając palącego wsie polskie Petlury, a przedewszystkiem Czesi, którzy zrabowali nam Śląsk zaolziański i głosili przez wszystkich swych mężów stanu na cały świat finis Poloniae. Serbowie zaś prowadzili i prowadzą swą taktykę jugosłowiańską, wygrywając Francuzów przeciw Włochom, Niemcom, małej Entencie i nowej Entencie bałkańskiej, a o Bułgarach wiemy bardzo dobrze, że mimo różnych polonofilskich demonstracji kulturalnych, są zaklętymi zwolennikami Niemców i od nich oczekują politycznych korzyści.

Oto realny stan rzeczy. A dochodzi do tego jeszcze niezbity fakt, że od zamierzchłej epoki chwilowej przyjaźni czesko-polskiej za Mieczysława I-go, przez całe następne dziewięć wieków nie mieliśmy gorszego, bardziej zdradzieckiego i zaborczego wroga od Czechów. Wszak wiadomo, że jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego stulecia największym, najperfidniejszym wrogiem Polaków w Galicji za czasów tamtejszej germanizacji był nietyle rdzenny Niemiec austrjacki, ile urzędnik czesko-austrjacki. A nędza Galicji była podtrzymywana skwapliwie nie przez centralny rząd wiedeński, ale przez zachłannych magnatów przemysłowych czeskich. Są to wszystko fakta, których nieznajomość byłaby dziś już prawdziwie karygodną ze strony Polaka.

Dlatego trzeźwo myślący umysł, daleki od śladu germanofilizmu i zdający sobie doskonale sprawę z całego rozmiaru niebezpieczeństwa niemieckiego we wszelkich jego przejawach, nie jest jednak w stanie zrozumieć, że w połowie XX-go wieku, w Polsce odrodzonej i dobrze już doświadczonej, mogą jeszcze istnieć, rozumować i działać obywatele, zrzeszenia i organy prasowe, propagujące z naiwnością i uporem jakąkolwiek ideę polityczno-militarnej wspólnoty słowiańskiej, a zwłaszcza ze spo-

dziewaną białą Rosją demokratyczną, która niby ma nam w imię słowiańskiego braterstwa dopomóc do nowego Grunwaldu i zdobycia Berlina!

Wybaczcie, czcigodni rodacy, ale takiej naiwności i karygodnej psychozy, popartej ślepą partyjną zawiścią, niepodobna znaleźć w żadnem innem społeczeństwie na całym świecie!

Ale, co najważniejsze, wszechsłowiańska ta dżuma mózgowa paraliżuje najdotkliwiej rozwój naszej mocarstwowości, dzieląc naród nasz — jak już wyżej wspomniano — na dwa skrajnie wrogie sobie obozy. Przepaść dzieli tu nietylko stronnictwa polityczne, ale nawet komórki rodzinne. A głębsza analiza wykazuje jasno, jak na dłoni, że główna różnica, która dzieli oba obozy, nie leży wcale w teoretycznych programach i dążeniach do władzy, ale w chorobliwym strachu i respekcie przed Rosją i w podświadomem kompleksie przekonania, że Polska może się utrzymać przy życiu rzekomo tylko w oparciu o rzekomą potęgę moskiewskiego imperjum. Dzika, neurasteniczna przyjaźń polsko-czeska — notabene absurdalnie tylko naiwnie jednostronna z pewnej polskiej strony — była tylko chwilową namiastką poddańczych uczuć podświadomych wobec Rosji, z którą chwilowo niepodobna wymieniać komplementów bratersko-słowiańskich wobec panującego tam jeszcze czerwonego intercjonału. Ale składamy tu z bezwzględną pewnością świadectwo prawdzie, że polscy słowianofile niczego goręcej nie wyczekują, jak powrotu białej Rosji, której z przesadną trwogą przed Niemcami pragnęliby w jakikolwiek sposób oddać się pod jej rzekomo opiekuńcze skrzydła.

Tę zarazę psychiczną, samobójczą i absurdalną z każdego punktu widzenia, trzeba wypalić w psychice naszego narodu wszelkim sposobem. Wszak Rosja nowszych wieków była zawsze w bardzo znacznym stopniu bezwolnem narzędziem antypolskiej *pruskiej* polityki. Jeżeli więc rodacy nasi, zwłaszcza na kresach zachodnich, chcą prawdziwie skutecznie walczyć z Niemcami, to muszą zwalczyć ich przedewszystkiem w ich posłusznych narzędziach czeskich i rosyjskich. Bo idei wszechsłowiańskiej nadużywa przeciw naiwności polskiej nietylko Czech i Moskal, biały lub czerwony, ale z planowym cynizmem również i Prusak. Z tego niezaprzeczonego faktu zdać sobie trzeba bardzo trzeźwo sprawę.

Chociaż bowiem obecnie, chwilowo, ze względów konkurencyjnych, hitlerowski Prusak znajduje się w antagoniźmie z bol-

szewickim Moskalem, to jednak pewna, w tym wypadku niestety bardzo realna wspólnota, czy przynajmniej analogja pruskiej i moskiewskiej racji stanu, wymierzona od wieków organicznie przeciw przeszkadzającej im w ich imperjalistycznych zamiarach Polsce, dąży podziemnie do podtrzymania w narodzie polskim owego zasadniczego rozłamu. A rozłam ten jest absolutnie identyczny z tym, jaki sto kilkadziesiąt lat temu podzielił naród nasz na zwolenników Konstytucji 3-go Maja i na Targowicę. Wiadomo dzisiaj dobrze, że tu i tam działały w pewnym stopniu orjentacje filopruskie i filorosyjskie. Ponad rozłamem i walką w polskim narodzie rozgrywała się cicha podziemna a potężna walka między Prusami a Rosją. Nie są to i nie powinny być dziś już żadne tajemnice.

Nie dopuśćmy więc do rozwoju tak upakarzającej i niebezpiecznej dla nas sytuacji. Ciężkiem doświadczeniem nauczeni, zlikwidujmy w umysłach naszego narodu z jednej strony stanowczo przesadzoną obawę przed potęgą niemiecką, której rzekomo nikt sprostać nie może, a z drugiej hańbiący nas wciąż kompleks niższości i respektu wobec Rosji na glinianych nogach. Pierwszym warunkiem prawdziwie mocarstwowego nastawienia polskiego narodu jest ośmieszenie i zduszenie kłamliwej bajki o jakiejkolwiek wartości słowiańskiej wspólnoty z pewnymi szczepami.

Stłumienie tej psychozy będzie zarazem jedynie możliwym, prawdziwie skutecznym początkiem tak upragnionej przez wielu polityków konsolidacji narodowej. Napróżno starają się o to różni ambitni działacze w powierzchownem mniemaniu, że chodzi tu tylko o jakieś parlamentarne, czy partyjne kompromisy. Kardynalna omyłka! Rzecz sięga daleko głębiej i na żadnej arenie polityki oficjalnej nigdy się nie rozwiąże. Żaden polityk-aktualista, żyjący atmosferą rozgrywek, nie wykorzeni w społeczeństwie polskiem psychicznego kompleksu Targowicy. Tu daleko głębszy proces uzdrawiający jest niezbędny, którego płocha, powierzchowna, czysto oportunistyczna gra pospolitych czynników partyjno - politycznych nigdy nie przeprowadzi.

Musi natomiast wzbudzić się w Polsce potężny ruch — najpierw oczywiście ruch umysłowy, bo od tego każda doniosła przemiana się zaczyna — ruch, wspomagany bezwzględnie, bez cienia chwiejności czy kompromisowości, przez polską wiedzę naukową, następnie przez ogólną politykę rządu, wszelakie zrzeszenia prywatne i przez sfery wojskowe, któryby wniósł

i ugruntował mocno na piedestale niezależną, wolną od wszel-kich przedwojennych orjentacji, rdzennie polską mentalność na-rodową. Precz raz na zawsze z wszelkiem naiwnem „filstwem" i wszelką „fobją": słowianofilstwem, frankofilstwem, italofil-stwem, swastykofilstwem, germanofobją, a zwłaszcza białem mo-skalofilstwem, które w gruncie rzeczy nie jest niczem innem, jak po Targowicy i po endeckim ugodostwie z r. 1905 odziedzi-czoną moskalofobją przed kolosem rosyjskiego imperjum. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze doktrynerski internacjonał socjalistyczny, oczywiście także z zagranicy importowany, a w podstawach swej doktryny wręcz antypaństwowy, skoro głosi w zasadzie znowu jakąś fikcję wszechświatowego brater-stwa proletarjatu, osiągalnego na zniszczeniu wszelkich wyższych, z natury rzeczy odrębnych, samodzielnych kultur narodowych.

Wszystko to razem wytwarza na miękkim i niezdecydowa-nym dotąd polskim gruncie nietylko bezproduktywną walkę par-tyjną, której stanowczo brak wszelkich logicznych, narodowych celów, ale co gorsza, wytwarza także beznadziejny chaos w umy-słach i absurdalną nienawiść Polaków między sobą.

Wszak wiadomo z doświadczenia, że współczesny Polak, za-czadzony trującym dymem różnych rozkładowych wpływów, łatwiej i chętniej porozumiewa się z tym czy innym cudzoziem-cem, według swego orjentacyjnego gustu, niż z własnym roda-kiem. A to przecież wstyd i zjawisko nienaturalne, w skutkach swych zarówno antynarodowe, jak i antypaństwowe!

W całym tym chaosie tak zwanych różnic przekonań, a w gruncie rzeczy tchórzliwych orjentacji, dostrzegamy wszyst-ko inne, tylko nie myśl prawdziwie narodową, patrjotyczną i su-werenną, o którą w odrodzonej Polsce przedewszystkiem cho-dzić powinno. Słusznie też twierdzą niektórzy współcześni ba-dacze polskiej myśli i filozofji narodowej, że mimo wszelkich, arcyszumnych, ale niestety powierzchownych tylko przejawów patrjotyzmu polskiego, brak u nas jeszcze rdzennie polskiej myśli i nastawienia. My wciąż jeszcze hołdujemy jakimś pomoc-niczym ideom zagranicznym, wśród których koncepcja wszech-słowiańska jest najbardziej dziecinną i niebezpieczną, bo odu-rzającą, a nie jesteśmy w stanie zdobyć się na prawdziwą, głę-boko ugruntowaną psychiczną samodzielność. Nie rozumiemy organicznego związku między słowianofilstwem a germanofobją. Nie domyśla się polski ogół, przekarmiony fragmentarycznemi, wciąż zmiennemi plotkami dziennikarskiemi, owej olbrzymiej,

a najrealniejszej ze wszystkich konspiracji prusko-moskiewskiej, która od dawnych czasów wymierzona jest przeciw Polsce, mimo wszelkie chwilowe w obu państwach prądy i rządy. Zresztą widzimy przecież już chyba aż nadto wyraźnie z rozwoju stosunków ustrojowych w Rosji i Niemczech z roku na rok, że absolutnie ta sama utrwala się tu i tam socjalistyczna doktryna niewoli społecznej, a tylko techniczne metody jej wprowadzania są odmienne, jak odmienną jest mentalność i kultura rosyjskiego mużyka i pruskiego kaprala. Ale w gruncie rzeczy wychodzą oba te ustroje na jedno. A Czesi wpadli ostatnio także w orbitę tych samych wpływów ustrojowych.

Gdzież więc jest w tem wszystkiem jakikolwiek na serjo ślad słowiańskości? Zaiste, trudno pojąć niebezpieczny ten obłęd wielu naszych rodaków!

Moralny, zdecydowany zamach stanu na kompletnie wykolejonej długoletnią niedolą polskiej psychice jest tu niezbędny. Jeżeli mamy na serjo ruszyć naprzód z realizacją Polski mocarstwowej pod względem politycznym, gospodarczym i celowej polityki mniejszościowej, jeżeli pragniemy naprawdę gotować się do odegrania czynnej roli w wielkich problemach północnych, południowych i wschodnich, które się lada dzień przed nami zaktualizują, to musimy przedewszystkiem otrząsnąć się stanowczo z wszelkiej psychozy wspólnot szczepowych i z wszelkich orjentacji, narzuconych nam podświadomym kompleksem obawy, a natomiast stanąć swobodnie, suwerennie, bez uprzedzeń na własnych nogach. Bez tego nie będzie silnej i trwałej Polski! A jeżeli z jednej strony jacyś politycy, a z drugiej jacyś książkowi uczeni prawić nam będą z niepoprawnym uporem o archeologicznym braterstwie słowiańskiem, to albo roześmiejmy im się w twarz, albo potraktujmy ich pobłażliwie jak manjaków, z którymi medycyna każe uspakajająco się obchodzić, ale pod żadnym warunkiem nie traktujmy ich na serjo, choćby dzierżyli przypadkiem nawet bardzo wybitne naukowe lub polityczne stanowiska.

Dzisiaj bowiem takie niestety nastały czasy, że i wiedza naukowa poszła nieraz w niewolniczą służbę partyjnej polityki. Widzimy to jaskrawo w Niemczech, gdzie dawną, solidną i systematyczną naukę, na której cały świat się wzorował, zastąpiła obecnie jakaś absurdalna, wyłącznie dla politycznych celów spreparowana „wiedza nordycka" wraz ze wszystkimi jej tragikomicznemi przybudówkami i konsekwencjami. W Polsce nie

jest aż tak źle, niemniej jednak do pewnego stopnia i nasze różne współczesne dzieła naukowe są nietyle wyrazem objektywnej wiedzy, ile zbyt często partyjno-politycznych lub szczepowo-orjentacyjnych przekonań uczonego autora. Smutne to, ale prawdziwe — choroba epoki!

Nie dajmy więc imponować sobie grubym tomom ani propagandowym broszurom różnych naukowców, zwłaszcza tych, u których widoczną jest słowiańska psychoza. Oduczmy się przysięgać bezkrytycznie na słowa różnych mistrzów, ale mierzmy każdą rzecz krytycznie, stosując zasady realizmu i zdrowego rozsądku. A cały nasz wysiłek zwróćmy w kierunku wykrzesania trzeźwych postulatów suwerennej, prawdziwie polskiej racji stanu, krusząc bez pardonu wszelkie naleciałości okresu niewoli. Rdzenny interes Polski mocarstwowej wymaga nie jakichś fikcyj uczuciowych, ale bezwzględnie niezależnego i egoistycznego nastawienia.

Wsparci na lufach karabinów, stójmy mocno na straży wyłącznie realnych interesów naszego państwa, traktując z uśmiechem ironji i wyższości wszelkie starcze ględzenia na temat słowiańskiej legendy.

Cały powyższy traktat o tej kapitalnej dla wyzwolenia i nastawienia polskiej psychiki sprawie został opracowany już mniej więcej dwa miesiące temu dla wygłoszenia w pierwszym, marcowym terminie, podanym nam przez Towarzystwo Wiedzy Wojskowej. Wypadki polityczne, które zaszły dokoła granic Polski od tego czasu, potwierdziły aż nazbyt dobitnie słuszność naszych powyższych twierdzeń, a zwłaszcza głównego twierdzenia o fikcji i politycznej bladze „idei słowiańskiej".

Wszak świat germański znowu zbroi się przeciw sobie. Niemcy z jednej, a Anglja i Stany Zjednoczone z drugiej strony przesyłają sobie groźne noty i zbroją się przeciw sobie w takim tempie, jak gdyby eksterminacyjna wojna miała lada dzień między niemi wybuchnąć. Obaj wielcy pobratymcy łacińscy, Francja i Włochy, czynią to samo, a nawet więcej, skoro Italja godzi agresywnie wprost w pewne kolonje francuskie, dążąc do zniszczenia dotychczasowej roli Francji na Morzu Śródziemnem. Nigdzie niema tam mowy o jakichkolwiek wspólnotach normandzko-germańskiego, względnie rzymskiego pokrewieństwa. Trzeźwy współczesny interes wszystkich tych mocarstw gra tu jedy-

ną rolę. Wyśmieliby się z naszych naiwnych archeologów-polityków wszyscy Włosi i Francuzi, gdyby tacy polscy politycy chcieli nakłaniać ich do zgody nie na podstawie realnych ustępstw i interesów, ale na ideowych fikcjach jakiegoś pokrewieństwa szczepowego.

A cóż się dzieje z naszymi pobratymcami — Słowianami? Gdzież te niby braterskie armje rosyjskie, ukraińskie, czeskie, serbskie i bułgarskie, gotowe ruszyć z nami, ramię przy ramieniu, na pogrom Niemców?! Bo przecież jedynie tylko w tej realnej formie mogłaby idea słowiańskiej wspólnoty jakąkolwiek konkretną wartość wykazać. Same uczone, książkowe wywody naszych slawistów, grzebiących w zamierzchłej przeszłości z wielkiemi okularami na nosach, wzbudzą może podziw w szczupłych gronach innych podobnych rozgrzebywaczy prehistorji, ale z całą pewnością nie dołożą ani jednej, choćby mikroskopijnej cegiełki do realnego wzmocnienia i zabezpieczenia naszej Ojczyzny. Zato ich szperanie i donkiszockie wnioski — nieraz wręcz błędne, bo podlegające dziś jeszcze przedwojennej narkozie wymyślonego przez Moskwę panslawizmu — przenoszone na grunt pewnych stronnictw politycznych, stwarzają poważne niebezpieczeństwo, gdyż utrudniają nowoczesnym Polakom trzeźwy pogląd na sprawy zagraniczne, a zwłaszcza na rzeczywisty stosunek Folski do różnych jej sąsiadów.

Bo co się tymczasem stało i dzieje?

W piorunującym tempie demaskuje się i zapada w nicość sztuczny fantom słowiańszczyzny. Szczep czechomorawski, który w ostatnim ćwierćwieczu najgłośniej rozkrzyczał się na temat wszechsłowiański, przemienia się ze zdumiewającą szybkością i gorliwością na przednią straż bojowego germanizmu. To nie jakieś zawojowanie słabszego narodu przez mocniejszy rozwija się w tej chwili przed naszymi oczyma, ale upiorna transformacja: opadła z Czecha sztuczna maska słowiańska — fabrykacji ongiś rosyjskiej — a odsłania się z pod niej prawdziwe oblicze niemieckiej namiastki sui generis, jaką jest istotnie szczep czeski od niepamiętnych czasów. I ryzykujemy tu bez obawy wielkiej pomyłki twierdzenie, że jak przed wojną daleko łatwiej mogli galicyjscy Polacy porozumieć się z Wiedeńczykami, niż z perfidnymi „braćmi“ czeskimi, ktrózy byli więcej austrjaccy od rdzennych Austrjaków, tak i odtąd stosunkowo łatwiej będzie Polsce porozumieć się nawet z berlińskimi Prusakami, niż z nadmiernie gorliwą prusko-czeską namiastką w Pradze. Kto

nie wierzy, ten niech czeka na fakta, których z pewnością nie zabraknie. Na razie ośmielamy się wysunąć tezę, że jakkolwiek arcytrudne czeka nas wobec ekspansji niemieckiej zadanie, to jednak wkrótce wykaże się, że właśnie Czesi, w swej nadmiernej służalczości wobec Niemców, będą ich najbardziej i najperfidniej przeciw Polsce podjudzać.

Powtarzamy, że kto nie wierzy, ten niech czeka na fakta. A jako nie dający się dotąd zbić dowód prawdy wysuwamy tylko dwa, ale aż nadto chyba wymowne argumenty realne: że skoro najpierw przez dwadzieścia lat Czech podniecał przeciw Polsce Rosję wraz z bolszewizmem, bojowy ukrainizm i wszelkie jaczejki masońskie w Europie i Ameryce, a obecnie tak skwapliwie przypina sobie odznaki hitlerowskie, więc nie widzimy żadnego logicznego powodu, aby nie zaczął odtąd najwściekle j intrygować przeciw nam w Berlinie, chcą wykazać swą błagonadiożnost wobec pierwszego lepszego hitlerowca.

Pozwalamy sobie i na dalej jeszcze idące, pozornie paradoksalne proroctwo: że sprytny Czech, aby nie palić za sobą wszystkich mostów słowiańskich, skonstruuje na poczekaniu osobliwe oskarżenie pod adresem Polski, że „przeszkadza ona konsolidacji Słowiańszczyzny pod jedynie sprawiedliwą i mocną egidą niemiecko-chrześcijańskiej misji berlińskich rycerzy krzyżowych".

Przekonacie się, naiwni polscy słowianofile, że czeska perfidja i do takich łamańców jest zdolna!

No, a w „słowiańskiej" Socjalistycznej Republice Rad wszystko inne jest faktycznie reprezentowane, niż jakakolwiek idea słowiańskiej wspólnoty. Rozwodzić się bliżej nad tym tematem, w którym Polacy winni być specjalistami wobec całego świata, byłoby ubliżaniem inteligencji i patrjotyzmowi Szanownych Słuchaczy. Dlatego rzekomą wspólnotę słowiańską z Rosją pozwalamy sobie potraktować bez dyskusji tylko ironicznym uśmiechem i suwerenną pogardą.

Inaczej przedstawia się sprawa w stosunku do narodów ruskiego i białoruskiego. Z nimi rzeczywiście wiążą nas niezaprzeczone węzły słowiańskiej wspólnoty, aczkolwiek bardzo mocno podmurowane potężnym swego czasu wpływem normandzkiego najazdu. Kijów jest w początkach swych twierdzą normandzką, podobnie jak Kruszwica i Poznań. Prawdę tę starali się zatuszować dla celów zaborczych Moskale i ich czescy słudzy. Ale prawda ta bije w oczy z prastarej kamiennej kruszwickiej wie-

życy, której przecież w owych zamierzchłych czasach żaden Słowianin nie byłby w stanie zbudować. A wspaniałe postacie takie, jak Chrobrego, bijące Niemców i Czechów, ale zaprzyjaźnione i skoligocone z Danją i Rusią, wykazują dowodnie ziemię skandynawską „skąd nasz ród“. Potwierdzają to nasze herby, nasze wolne, królom równe rycerstwo i nasz biały orzeł północny, pierwotnie w wiśniowem, staro skandynawskiem polu, rozwodnionem później dopiero na łagodniejszy kolor amarantu.

Tylko, że tę wielką prawdę zaćmili w ubiegłym stuleciu zbyt skwapliwie uczeni pod niewątpliwym wpływem moskiewsko-czeskim, nie zdając sobie w swej naiwności sprawy, że przeistaczając nas w ślamazarnych Słowian, poddają Polskę pod duchowe jarzmo Rosji, a osłabiają ją wobec Niemców. Bo normandzka w swem pochodzeniu i temperamencie rycerskim Polska znacznie mocniejsze zająć może wobec Prus i Moskwy stanowisko, niż jakiś miękki, słowiański szczep, uważany za coś niższego przez tak zwaną cywilizowaną Europę.

Zresztą przodkowie nasi nazywali się zawsze Sarmatami, a na grobowcu Bolesława Chrobrego błyszczy po dziś dzień znamienny napis: „Król gotów czyli Polaków“ — i to więcej znaczy w naszem przekonaniu, niż wszelkie dzisiejsze literackie rozprawy naszych aż nadmiernie uczonych słowianofilów, zatrutych nawskroś perfidną czesko-rosyjską agitacją osłabiającą!*)

I na tej podstawie, z tem głębokiem przeświadczeniem i rycersko-normandzką dumą, możemy dopiero skutecznie stawić czoło z jednej strony teutońskiej ekspansji, z drugiej zaś zorganizować dla wspólnych celów przeciw rosyjsko-mongolskiej nawale Rusinów i Białorusinów. Trzeba tylko bezkompromisowo zniszczyć w ruskim narodzie bandycką tradycję siczowego, wywrotowego internacjonału, czem w istocie była Sicz i pochodzące z niej kozactwo. Ten właśnie incydent siczowo-hajdamacki zatruł na długie wieki ducha ruskiego narodu rozbójniczym, bezproduktywnym i bezprogramowym ukrainizmem, który jest niczem innem, jak wyłącznie tylko jakimś dzikim kultem permanentnego rozbójnictwa i wiecznie skrwawionego noża.

Tam właśnie zaingerować musi w sposób zdecydowany polska organizacja i kultura, a w danym razie i siła, miażdżąc bezwzględnie siczowy ukrainizm, a wskrzeszając pojęcie historycz-

---

*) Siostra Bolesława Chrobrego, wydana za księcia duńskiego, miała na imię Zygfryda!

nego Rusina, opartego w swych zaczątkach państwowych także o tradycje normandzkie. Rusini muszą poczuć wyraźnie, że mają do czynienia z mocarnym narodem, w rdzeniu swym potomkiem owych groźnych zastępów skandynawskich, które biły Niemców i Słowian, stworzyły Anglję i inne silne związki państw dokoła Europy i wprowadziły w cywilizację chrześcijańską zasadnicze pojęcie rycerza, które przedtem nigdzie nie istniało. Gdyby nie kultura normandzkiego najazdu, to nie mielibyśmy w Polsce Zawiszów Czarnych, lecz tylko ciemnych a dzikich bojarów, na kształt moskiewski, spodlonych niewolników jakiegoś słowiańskiego Iwana Groźnego.

I w odrodzeniu tej odświeżającej polskiego ducha t. zw. „teorji normandzkiego najazdu" — która jednak nie jest teorją, ale rzetelną prawdą, zaprzeczaną tylko przez niektórych współczesnych uczonych, zahipnotyzowanych czesko-moskiewskim haszyszem niżej wartościowego słowiaństwa — leży najgłębsza istota śmiałego i pozytywnego rozwiązania prawdziwie wielkich polskich zadań narodowych i państwowych. Ślamazarny Słowianin, brząkający tylko smętnie na strunach jakiejś mistycznej harfy — jak to świetnie przedstawił Słowacki w Lilli Wenedzie — nie będzie nigdy w stanie ani spełnić misji pozytywnego Przedmurza Chrześcijaństwa, ani przeciwstawić się niemieckiemu parciu na wschód, ani rozwiązaąć pomyślnie problemu ruskiego. Niemcy i inne, sąsiadujące z nami narody muszą wyraźnie odczuć, że Polska nie jest żadnym miękkim, słowiańskim Hadenlandem, bojącym się — choćby tylko podświadomie — niemieckiego pancerza, czy siczowego noża, ale mocarnie odrodzonem i uświadomionem potomstwem tych rycerzy północy, którzy ongiś gromili Teutonów i Alamanów, budowali Anglję i Normandję, zapłodnili rycerską kulturą całą Europę przez inwazję w ujścia wielkich rzek i budowę potężnych grodów, wymurowali Paryż, Palermo, Kijów, Poznań i Kruszwicę, a na ziemiach naszych podnieśli sztandar skandynawskiego Białego Orła i pozostawili ślad wymowny w postaci kruszwickiej wieżycy.

Pamiętajcie Polacy z dumą, że druga podobna wieżyca znajduje się na świecie tylko w północno-amerykańskim mieście nadbrzeżnem Newarku, otoczona ozdobnym skwerem i legendą. Bo wszak łodzie normandzkich Wikingów dotarły mniejwięcej w X-ym wieku do północnych wybrzeży Ameryki.

Wiedzą o tem doskonale przedewszystkiem Niemcy. I właśnie dlatego prześladowano nas w epoce Hohenzollernów, a współcześni hitlerowcy zaliczają nas jednak do narodów „nordyc-

kich". I mają zupełną rację. Oczywiście, że zmieszaliśmy się z tubylczą ludnością słowiańską, ale wlaliśmy w nią pierwiastek kultury i żołnierski, który skrajnie odróżnia mentalność polską od niższej kultury innych Słowian.

Nie wstydźmy się więc naszego normandzkiego pochodzenia. Bez niego nie byłoby ani Grunwaldu, ani Wiednia, ani Somosierry, ani niedawnego Cudu nad Wisłą. Bez niego nie odzyskamy całej naszej historycznej ojcowizny, a w pierwszym rzędzie Gdańska. A więc — precz z psychozą i historyczną miękkością słowiańską! My nie chcemy być i nie będziemy niezdarnie słowiańskim symbolem Lelum-Polelum, ale zdecydowanie regenerujemy rycerską tradycję Lecha, który na ziemi naszej utwierdził symbol północnego Białego Orła.

———————

Redakcja wydawnictwa powróci niebawem dokładniej do sprawy, poruszonej przez naszego prelegenta w powyższym odczycie, gdyż chodzi tu o problem istotnie kapitalny dla samopoczucia narodu polskiego w obliczu świata, a zwłaszcza wobec groźnego wciąż jeszcze niebezpieczeństwa „kleszczy prusko-rosyjskich", których przenigdy nie sparaliżuje naród w narkozie niedołężnego słowianizmu, ale którym skutecznie stawi czoło i szpony normandzki orzeł Lecha — biały orzeł pierwszych Piastów w wiśniowem polu.

Przed ewentualnym współczesnym najazdem teutońskim obroni nas najlepiej uznanie tradycji normandzkiego ongiś najazdu i pochodzenia.

Naczelna idea programowa Związku Polskiej Myśli Państwowej

WOLNOŚĆ

Największem dobrem ziemskiem człowieka jest wolność osobista. Największym, szczególnym wśród innych narodów walorem Polaka, najbardziej przez niego umiłowanym, jest wolność osobista.

Walka o tę wolność — równoznaczna z wolnością Ojczyzny — jest najistotniejszą cechą i misją dziejową Polaka.

Odwieczny polski dogmat wolności osobistej stanowił i stanowi tę szczególną moc atrakcyjną, która — ogółem biorąc — bezkrwawo zbudowała ongiś mocarstwo polskie, a i obecnie z całą pewnością może je na nowo wskrzesić w większych jeszcze rozmiarach drogą unji i ścisłych sojuszów.

Walka więc o wolność osobistą — to walka o potęgę narodu i państwa.

Wolność obywatelska — to mocarstwowość!
Niewola społeczna — to niebezpieczna wegetacja!

Fałszywe doktryny niby — wyzwoleńcze zakuły od stu lat ludzkość w coraz sroższą niewolę.

Goniąc za utopją uszczęśliwienia wszystkich gwałtem społecznym, zrujnowały moralność i gospodarkę i zabrnęły w brutalne, okrutne rządy totalizmów.

Precz z szaleńczą fikcją przymusu społecznego i etatyzmu! Niech żyje wolność!

Nieprawda, że nowoczesna cywilizacja i wzrost ludności wymagają ograniczenia wolności obywatelskiej!

Związek Polskiej Myśli Państwowej niesie hasło walki o wolność

Na wewnątrz:

Usunięcie walnych przeszkód normalnego rozwoju narodowego, państwowego i gospodarczego przez zahamowanie i celową likwidację paraliżującego nadmiaru ustawodawstwa o charakterze etatyzmu i społecznego przymusu.

Wyzwolenie z niedoli gospodarczej przez

1) znaczną redukcję aparatu administracyjnego, rządowego i samorządowego,

2) bardzo znaczną likwidację olbrzymiego ciężaru pasożytniczych nadbudówek organizacji gospodarczych,

3) ograniczenie druzgocącego nadmiaru wszystkich, a całkowite zniesienie niektórych podatków (zwłaszcza obrotowego), stanowiących absurd gospodarczy, przeciwny wszelkiej logice ekonomicznej,

4) zniesienie przymusu ubezpieczeń społecznych w myśl prawdziwie postępowej zasady, że obywatel państwa nie jest niewolnikiem,

a nadewszystko przez **prawo własności prywatnej i prawo do uczciwego zarobku** mocno ugruntowane w ustawodawstwie i praktyce.

Własność prywatna jest najgłębszą podstawą moralną i materjalną państwa, a uczciwy zarobek zasługą dla Ojczyzny i jedynym sposobem ulżenia nędzy i podniesienia dobrobytu ogółu.

Nie wolno nikomu, nawet państwu, naruszać tych fundamentalnych praw człowieka pod żadnym pozorem. Własność to wolność, a bez wolności niemasz Polski!

Na zewnątrz:

Własność prywatna, swoboda uczciwego zarobku, wolność osobista — to moc przyciągająca do Polski ludy okoliczne, sprzężone z nią geopolitycznie wspólnem niebezpieczeństwem od wschodu i zachodu.

Zasięg tej wspólnoty naturalnej sięga od Odry na zachodzie po Kaukaz i rzekę Ural na wschodzie, obejmując, oprócz Polski obecnej (z Gdańskiem, Śląskiem opolskim i Prusami Wschodniemi), państwa bałtyckie, całą Ruś, Białoruś, Węgry, Jugosławię, Rumunję, Bułgarję — pod pewnymi warunkami i Czechomorawję — a nadto i dalsze czarnomorskie narody, przez Rosję uciśnione.

Zbudowanie tego naturalnego bloku mocarstwowego, spojonego wewnętrznie w różnych formach, jest realnym celem i misją specyficznie polskiej idei mocarstwowej, realizowanej drogą przyciągającego wpływu i okazyjnych, możliwie bezkrwawych interwencji.

Nastawienie się narodu polskiego w kierunku tej ekspansji i planowe przygotowanie tych okazji dziejowych na odpowiednią metę jest równoznaczne **z przemianą ducha wyłącznej tylko defenzywy na ducha planowej ofenzywy** nie w znaczeniu brutalnej agresji zdobywczej, ale wyżej wskazanem.

W tym bloku narodów **ma Polska rolę „narodu przewodniego“.**

RELIGJA RZYMSKO-KATOLICKA

jako właśnie zgodna z pojęciem wolności osobistej oraz jako postulat łączenia się narodów o wspólnych potrzebach ideą miłości bliźniego, jest dla Polaka nietylko sprawą głębokiej wiary, ale w jej konsenkwencji także i najistotniejszej narodowej racji stanu między innowierstwem lub ateizmem wschodu i zachodu.

Rozpowszechnienie i ugruntowanie ducha prawdziwie katolickiego własnym dobrym przykładem — ale bez żadnego nacisku na inne wyznania — jest w wymienionym zasięgu ludów

MISJĄ APOSTOLSKĄ POLSKI.

Druk. „Lech“, Warszawa, Koszykowa 33. Tel. 8.90-66.